

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 11 (1214) ROK XXIV

15 MARCA 1981 R.

CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

Pokonywanie labiryntu

„Bohater amerykańskiego serialu telewizyjnego dzięki genialnemu sprytowi i imponującej odwadze zwycięsko wychodził z każdej próby. Bohaterowie „serialu” Szczepańskiego nie pójdą w jego ślady. Staliby się po prostu uzurpatorami, gdyby niezawodnie rozstrzygali w imię prawdy i fałszu.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI
(o J. JÓZEFIE SZCZEPAŃSKIM)

„Solidarność” znaczy gospodarność

„Jest rzeczą zastanawiającą, że na żadnej z list zleceniowców nie ma robotników, ani szeregowych pracowników, tylko sami promieniści. Robotnicy nie korzystali z tych dobrodziejstw. Szereg tego typu spraw zgłoszy nam załogi zakładów pracy.”

(ROZMOWA KONRADA TREJDLICHA Z PRZEDSTAWICIELAMI NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”)

Stworzyć balet

„Aktualny stan przygotowania do zawodu przedstawia się bardzo mizernie. Nawet niektórzy spośród najbardziej utalentowanych solistów są niedostatecznie przygotowani do podłożenia najwyższym wymagom, jakie stwarza sztuka baletowa.”

(JERZY KOSIEWICZ)

Polska willowa

„Profesor dr Krystyna Daszkiewicz z Instytutu Prawa Karnego, wybitny znawca zjawisk z zakresu patologii społecznej, autorka m.in. „Klimatów bezprawia” i „Traktatu o złej robocie”, napisała niedawno w „Argumentach”, że zjawiska powstawania i umacniania się klik można przyrównać do zrastania się szczurów ogonami — tak, że nawet ich krwioobieg staje się wspólny.”

(WACŁAW OFACKI)

smutne dziedzictwo

Ryszard Binkowski



Fot. R. Łucyszyn

Oto szary, brudny pejzaż rzeczywistości gminnej. Pod wiatą bez dachu rdzewieją ciągniki i maszyny rolnicze. W odległości stu metrów od długiego, niskiego budynku chlewni, w której powikłuje się setka głodnych prosiaków (zamiast pięciuset sytych), kruszeją przerośnięte trawą elementy domków jednorodzinnych wartości kilku milionów. W tych domkach miał zamieszkać personel chlewni. A dalej, w szarym polu, czerni się wielka przyzma — kilka ton zgnitego siana.

Oto dziewięcioosobowy placik ogrodzony dziurawą siatką, za którą widać trochę desek, gruzu, pustaków, drutu zbrojeniowego i kupkę żwiru. W kolorowej budzie na kółkach dzień i noc czuwa na zmianę trzech dozorców, strzegąc tych dóbr za dziesięć tysięcy miesięcznie. Magazynier urzęduje w innym, kolorowym domku, bez kółek, a kierownik bazy rządzi nią z biurowca na odległość, z innej miejscowości.

Oto na placik przez trzy dni zajeżdżają ciągniki z przyczepami, wysypując przymę żwiru przywiezionego z odległej o dziesięć kilometrów kopalni. Przez następne dwa dni te same ciągniki wywożą ten sam żwir na plac budowy, leżący w odległości dwunastu kilometrów. Później ciągniki przywożą do bazy magazynowej czerwoną cegłę i tzw. trylinę. Pięciosobowa brygada, pragnąc wygospodarować trochę czasu na zakurkę i wypicie butelczyny krępek „Leż Sotysa”, rozhuśtuje przyczepę i wyładowuje szybko cegłę, robiąc z niej pokowę gruzu, który przyda się na fundamenty. Za dwa dni ta sama brygada załaduje gruz na przyczepę i wywiezie na plac budowy. I tak aż do znużenia, dopóki starczy dotacji...

Chłopi, zgrzytając zębami, mówią ze złością: „W polu żyto po kolana a kartofli tak gęsto, jakby wróbel nałpał z powietrza. Do obór i chlewni lepiej nie zaglądać, bo można dostać zawału”.

Tak się rządzi gdzieś w Polsce firmy z szyldem „Spółdzielnia Kółek Rolniczych”. W roku 1979 SKR przy-

Ciąg dalszy na str. 2

Tadeusz Błazejewski

MISSION IMPOSSIBLE czyli pokonywa- nie labiryntu

Dosłownie w ostatnich dniach minionego roku obradował w Warszawie XXI Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich, przyspieszony o kilka miesięcy. Zebrani 127 głosami spośród 135 głosujących dokonali wyboru nowego prezesa Zarządu Głównego ZLP. Został nim Jan Józef Szczepański.

W licznych wywiadach (o dość znamienitych notabene tytułach, na przykład „Trochę boję się tej funkcji”, „Dobrej woli mi nie zabraknie”, „Pisarz i jego misja”) nowy prezes pisarskiej społeczności dał wyraz swym poglądom na aktualną sytuację literatury i pisarzy w naszym kraju oraz określił z grubsza charakter swych przedsięwzięć. Nie ma potrzeby powtarzać tu tych znanych na ogół spraw. Przyjrzyjmy się raczej sylwetce twórcy Jana Józefa Szczepańskiego.

Urodził się 12 stycznia 1919 roku w Warszawie w rodzinie Marii i Aleksandra Szczepańskich. Ojciec przy-

szego pisarza był ekonomistą i dyplomata, działaczem niepodległościowym, nieobce też mu były zainteresowania literackie. Skoro o rodzinnych sprawach mowa — dla niewtajemniczonych podaję ciekawostkę: Jan Józef Szczepański jest bliskim krewnym Marii Kuncewiczowej, Aleksandra Szczepańskiego pełnił funkcję konsula Rzeczypospolitej w Jugosławii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych, nie więc dziwnego, iż Jan Józef część nauk pobierał za granicą. Świadectwo dojrzałości uzyskał jednak w Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Katowicach a po odbyciu ochotniczej służby wojskowej rozpoczął studia w zakresie indianistyki na Uniwersytecie Warszawskim. W kampanii wrześniowej brał udział jako podchorąży. Po ucieczce z niewoli niemieckiej osiadł w Krakowie, gdzie pracował, studiował filozofię w tajnym Uniwersytecie Jagiellońskim i konspirował w Armii Krajowej. Tam też w roku 1943 zadebiutował wierszem (inc.) „Po szarym niebie”, ogłoszonym pod nazwiskiem Romana Konarskiego w konspiracyjnym piśmie „Droga”. Twórczość powojenną rozpoczął od publikacji w 1947 roku w „Tygodniku Powszechnym” swego kto wie czy nie najlepszego (a w każdym razie najbardziej znanego) opowiadania pt.: „Buty”. W tym czasie ukończył orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, w Państwowych Wydawnictwach Muzycznych, był kierownikiem literackim teatru „Groteska”. Jest znanym podróżnikiem i taternikiem. Obok twórczości ściśle literackiej uprawia z wielkim powodzeniem „pisarstwo filmowe” (jest autorem między innymi scenariuszy do filmów: „Wolne miasto” — 1958, „Jadą goście jadą” — 1962, „Stajnia na Salwatorze” — 1967, „Westerplatte” — 1967, „Szalony major” — zrealizowany w 1972 jako „Hubal”, wspólnie z Andrzejem Kijowskim napisał scenariusz do realizowanego obecnie przez Krzysztofa Zanussiego filmu o papieżu Janie Pawle II pt.: „Z dalekiego kraju”). Zajmuje się również przekładami; spośród pisarzy, których utwory przetłumaczył wymieniamy przykładowo nazwiska G. Appolinaire’a, J. Conrada, G. Greena, A. Huxleya, B. Marshalla.

Ciąg dalszy na str. 4

„SOLIDARNOŚĆ” znaczy gospodarność

Rozmowa z JADWIGĄ SZCZESKIEWICZ — kierownikiem Ośrodka Badań Działalności Gospodarczej NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej i BOGUSŁAWEM PORWISIAKIEM — doradcą do spraw gospodarki żywnościowo-surowcowej tegoż Ośrodka.

„ODGŁOSY”: Złośliwi twierdzą, że „Solidarność” dlatego tak wytrwale walczyła o wolne soboty, aby prezydium MKZ mogło sobie wreszcie spokojnie popracować...

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Chyba bardzo złośliwi. Choć rzeczywiście w wolne soboty często robimy to, czego nam się nie udało zrobić w ciągu całego tygodnia ze względu na nadmiar spraw. Pracujemy bowiem bardzo szczupłymi siłami.

„ODGŁOSY”: Coż ma wobec tego powiedzieć Sekcja Interwencji „Solidarność”?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Nie zazdroścę kolegom z Sekcji Interwencji, ale muszę dodać, że w naszym MKZ nie ma tak ścisłych podziałów. Jeśli Zbyszek Sęk i jego współpracownicy wyruszają w teren, często przejmujemy za nich sprawy. Z „Solidarności” nikt nie może odejść nie załatwiony.

„ODGŁOSY”: A czym przede wszystkim zajmuje się wasz ośrodek i co zaderdowało o potrzebie jego powołania?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Zdecydowały o tym nieprawidłowości w realizowaniu punktu 8 Porozumienia Gdańskiego, wynikające z różnej, a raczej dowolnej interpretacji kosztów utrzymania w różnych branżach przemysłu. Szczególnie jaskrawych przykładów dostarczyły wytwórnie papierosów, Wytwórnia Termometrów, „Polmozyt”. Był to problem którym należało się zająć. W drugiej połowie października ub. roku MKZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej powołał więc ośrodek techniczno-ekonomiczny, pracujący siłami społecznymi. Wkrótce okazało się, że to nie wystarczy, ponieważ postulaty załóg dotyczyły nie tylko zagadnień bytowych, ale przede wszystkim spraw gospodarczych.

Ciąg dalszy na str. 4

AKTUALNOŚCI

NA STANOWISKO dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Powszechnego w Łodzi powołano został Miroslaw Szermert, aktor i reżyser związany z tą sceną od 30 lat.

DYREKTA PTL „Arlekin” i koło SPATP są organizatorami jubileuszu Henryka Ryla. Henryk Ryl, który ukończył niedawno 70 lat, jest znanym w kraju i w świecie reżyserem i inscenizatorem, a także autorem sztuki i wspomnień. Numatem wieloletnim redaktorem czasopisma „Teatr Łódź”, obecnie przewodniczącym Polskiego Ośrodka UNIMA-POLUNIMA.

W TEATRZE NOWYM w dniach 19-23 marca wystąpi słynny zespół Pantomimy Wrocławskiej, kierowany przez Henryka Tomaszewskiego. Zobaczymy przełożony na język gestu i ruchu scenicznego słynny dramat szekspirowski, no-

KRONIKA KULTURALNA

szacy w inscenizacji! Pantomimy Wrocławskiej tytuł Hamlet — ironia i żaloba. Muzykę do spektaklu skomponowali: Gustaw Holst, Gabriel Faure i Bogdan Dominik. Za realizację tego przedstawienia Henryk Tomaszewski otrzymał nagrodę im. Bowa za rok 1980, przyznawaną przez Klub Krytyki Teatralnej autorowi najciekawszego przedstawienia w sezonie.

W DNIACH 14-28 bm. czynna będzie w kawiarni „Dziękanka” interesująca wystawa plastyczna. Organizatorem wystawy jest Stowarzyszenie Artystyczne — Łódzki Klub Jazzowy. Na ekspozycji złożą się prace plastyczne Krzysztofa Rajpolda — plastyka i muzyka. W twórczości tego artysty jego dwie pasje — życie i sztuka — są bardzo ściśle. Prezentowane prace ujmują w sposób alegoryczny tematykę jazzu tradycyjnego i nowoczesnego, stanowiąc odbicie znanych standardów jazzowych.

NIE MA przesady w twierdzeniu, iż Sławomir Mrożek stał się od pięciu lat czołowym dramaturgiem Teatru Nowego: w tym bowiem okresie widzowie Łódzi mogli obejrzeć tu „Emigrantów”, „Garbusa”, „Drugie danie”, zaś aktualnie od dwóch sezonów grany jest na Dużej Scenie słynny przez krytykę za najwartościowsze wydarzenie XVI Warszawskich Spotkań Teatralnych „Wielki w reżyserii Kazimierza Dejmki, scenografi Krzysztofa Pankiewicza.

Od 18 marca w Małej Sali Teatru Nowego czeka nas kolejny „Mrożek”: tym razem będą to dwie świetne, a różne w nastroju jednoaktówki: „Czarna noc” i „Karol”. Rozgrywane są w bardzo precyzyjnych, zwykłych realiach (pokój hotelowy, gabinet okulisty) — stają się to dwie miniaturowe sceny, które przez swoją przewrotną logikę (w budowaniu której Mrożek jest mistrzem) niezwykle wnikliwie analizują postaw ludzkich wobec niecodziennych sytuacji. Przy tym — jak zwykle u Mrożka — znakomity poziom dowcipu i żłobkowość dialogu — mieszanie farsy, grotesku i tragedii, śmiechu i grozy.

W wieczorze teatralnym, na który złożyła się powyższe jednoaktówki, biorą udział: Danuta Rynkiewicz, Jacek Chmielnik, Zbigniew Jędrzejewski, Andrzej May. Reżyseria: Wanda Rorbeck-Walaszek. Scenografia: Iwona Zaborowska.

PO NIEDAWNEJ premierze baletu „FONTANNA BACHCZYSAJAJ” Borysa Asafiewa w sobotę, 7 bm. na scenie Teatru Wielkiego powróciło po dłuższej przerwie opera „WOLNY STRZELC” Carola Marcia Webera. W tym przedstawieniu, które jest manifestem stylu romantycznego w muzyce, łącząc z rewelacyjną muzyką atrakcyjne treści dramatyczne fabularne. Przypomnijmy, że arcydzieło C. M. Webera przygotował twórca tej muzyki: BOHDAN WODICZKO — kierownictwo muzyczne, KAZIMIERZ DEJMEK — reżyseria, KRYSTOF PANKIEWICZ — scenografia. W sobotnim — pięćdziesiątym już wykonaniu „WOLNEGO STRZELCA” — w głównych partiach wystąpił: Teresa May-Czyżowska, Włodyśław Kudałowski, Krystyna Rorbeck-Walaszek. Tomasz Fitas, Jerzy Jędrzejek, Tadeusz Kopacki, Kazimierz Kowalski, Andrzej Niemierowicz, Eugeniusz Nizioł, Włodzimierz Zaleski. Przedstawieniem dyrygował TADEUSZ KOZŁOWSKI.

27 LUTEGO odbyło się w Piotrkowie zebranie świąteczne Klubu Literackiego gromadzącego w swoich szeregach kilkunastu ludzi piszących z terenu województwa piotrkowskiego. W zebraniu wzięli udział wiceprezes Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich Władysław Orłowski, który omówił problematykę grudniowego zjazdu ZLP i aktualną sytuację w związku. Należy dodać, że piotrkowski Klub Literacki afiliowany jest przy Oddziale Łódzkim ZLP i ściśle z nim współpracuje.

ZAKŁADOWY DOM KULTURY LZPB im. Obrońców Pokoju przy udziale Wydziału Oświaty i Wychowania i Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, w dniach 21-23 lutego, w Łodzi, ul. Prądzyńskiego 88 z dopiskiem na kopercie: „Turniej Jednego Wiersza”. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora. Każdy autor może wystąpić tylko pod jednym godłem.

— Ogłoszenie wyników Turnieju oraz wręczenie nagród odbędzie się 30 marca 1981 r.

Wiersze, oznaczone godłem, należy nadsyłać w 2 egzemplarzach maszynopisu do dnia 21 marca 1981 r. na adres: Zakładowy Dom Kultury LZPB im. Obrońców Pokoju 80-331 Łódź, ul. Prądzyńskiego 88 z dopiskiem na kopercie: „Turniej Jednego Wiersza”. Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora. Każdy autor może wystąpić tylko pod jednym godłem.

— Ogłoszenie wyników Turnieju oraz wręczenie nagród odbędzie się 30 marca 1981 r.

WE WSTĘPIE do dokumentu Rady Stowarzyszeń i Związków Twórczych w Łodzi z dnia 18 grudnia ub. r. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich — Oddział w Łodzi wymienione zostało jako jeden z współtwórców Rady Istotnie, delegaci Stowarzyszenia uczestniczyli w pracach Rady od jej organizacyjnego zebrania w dniu 17 listopada ub. roku i brali udział w przygotowaniu pierwszych dokumentów Rady. W dniu 12 lutego br. Zarząd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich — Oddział w Łodzi odwołał delegowanych do Rady przedstawicieli SDP i tym samym łódzka organizacja dziennikarska przestała w pracach Rady uczestniczyć. Motywy decyzji Zarządu SDP — Oddział w Łodzi nie są Radzie znane.

Prawie cała prawda o „Odgłosach”

1.

Szliśmy na to spotkanie z niepokojem, jak co roku. Mowa o spotkaniu zespołu „Odgłosów” z Czytelnikami w ubiegły wtorek, w Stowarzyszeniu Twórców Kultury w Łodzi. „Odgłosowi” kombatanci tych spotkań powiadają, że różnie, bardzo różnie, podczas nich bywało. Na ogół byliśmy biali. Braliśmy w skórę za siebie i nie za siebie, i nawet tłumaczyć się nie bardzo było można, tak jak nie bardzo było można pisać. Szliśmy więc z niepokojem, ale nie baliśmy się ukrywać, tak, jak nie baliśmy się ukrywać niczego, z minuty na minutę czując naszego samopoczucia — samopoczucia redaktorów „Odgłosów” — poprawiało się. Zwykle nieuczciwością i chowaniem głowy w piasek byłoby ukrywanie tych danych: w 96,73 proc. byliśmy chwaleni.

Byliśmy chwaleni jako redaktorzy. Za to, że pismo poszerzyło zakres swych zainteresowań, że pisze konkretniej i bardziej o rzeczy, że pisze już prawie prawdę. Byliśmy, owszem, też ganieni, za to, że są kłopoty z nabyciem „Odgłosów”, że nie

podnosimy nakładu (a cała prawda, jeśli już o niej mowa, jest taka, że ostatnio, dzięki wydawcy i Czytelnikom, nakład nasz zwiększył się prawie o 100 proc. i oscyluje obecnie między 35-40 tys. egzemplarzy). Byliśmy też ganieni, za to, że wychodzimy w objętości zaledwie 12 stron, w związku z czym niektóre działy tematyczne, jak np. problematyka kulturalna, cierpią na tym. (Cała prawda jest taka, że jest to prawda).

2.

Byliśmy chwaleni jako redaktorzy, nie bardzo jeszcze jednak jako dziennikarze. Dziwne? Tak, dziwne, ale czasy są takie, że niczemu się dziwić nie należy. Byliśmy ganieni właśnie za to, że piszemy prawie prawdę. Niecałą prawdę.

„Ja osobiście w dalszym ciągu nie wierzę w prawdziwość prasy”. „Nie sztuka jest krytykować Gierka, Jaroszewicza — teraz. Sztuka jest prowadzić krytykę na bieżąco”. „Kiedyś, jak ktoś mówił, „prasa o tym pisała”, to był argument. Teraz mówi się to z uśmiechem. Piszcie więc prawdę, tak, abyśmy nie musieli słuchać zagranicznych radiostacji”.

„Całe pokucie naszej historii, zwłaszcza najnowszej, okryte są tajemnicą, albo fałszywymi interpretacjami”. „Ciężko jest jeszcze racja stanu, racja regionu, racja miasta, dzielnicy. To jest zasłanianie się racjami. My jesteśmy największą racją”.

Wszystko są to głosy ze spotkania. Z tych, i pozostałych, można by ułożyć cały plan pracy redakcji. No i — po to te spotkania odbywamy.

Jak zwykle, wiele opinii dotyczyło nie samych „Odgłosów”, ale po prostu rzeczywistości. Minionej i obecnej.

„Dlaczego Miłosz, do niedawna wyklęty, teraz stał się raptem synem Ojczyzny. Nobel go tak odmienił?”. „Jak to może być — żeby prawo łamał ci, którzy powołani są do tego, by go strzec”.

„Dopóki nie będziemy szanowali chleba, nie będziemy jedli kielbasy”. „A czy z przydziałami mieszkań jest już wszystko w porządku? Nie wszyscy mają jednakowe trudności...”. „Bezpartyjnych partia i prasa widzą dopiero wtedy, kiedy im ich potrzeba. W dalszym ciągu obowiązują różne nomenklatury, a nie wiedza, umiejętności i uczciwość”.

Byliśmy przygotowani na wszystko, że będzie się nas atakować, i nie tylko nas, z prawa i z lewa. Nie takiego nie nastąpiło.

„Za socjalizmem to jest w kraju 90 procent, albo i więcej. Ale za sprawiedliwym socjalizmem”.

„Sił antysocjalistycznych trzeba by szukać po obu stronach. Nie tylko po jednej”.

„Jestem za przewodnią rolę partii, ale niech ta partia rzeczywistość przewodzi”.

Sporo też było sceptycyzmu.

„Nie mam pewności, czy rzeczywistość nastąpią zmiany na lepsze. Czy mogą nastąpić”.

„Takie zmiany, jak teraz, przechodziłem kilkakrotnie. Też były pisma, jak „Po prostu”, które po prostu przestały istnieć. Boję się, że po pewnym czasie i dzisiejsze tendencje ulegną zmianie”.

3.

Otóż to. Nie można powiedzieć, żeby te obawy nie były nam obce. Zdecydowaliśmy się na spotkanie z naszymi Czytelnikami twarzą w twarz w tak trudnym okresie, bo chcieliśmy się upewnić, czy rzeczywistość mamy Czytelników za sobą. Pismo bez Czytelników nie ma sensu, to oczywiste. Ale nam chodzi nie tylko o sam prosty fakt wydania przez kogoś kilku złotych w kioskach, lecz o to, czy rzeczywistość Czytelnicy są z nami, czy piszemy o tym, co ich obchodzi i czy ich obchodzi to, co piszemy. Z tego spotkania, odbytego w przepięknej sali, które długo by się nie zakończyło, gdyby nie fakt, że zaraz po nas wchodziła na scenę nasza protegowana — „Szopka Noworoczna”, wyneśliśmy przekonanie, że na wszystkie te pytania można odpowiedzieć twierdząco.

Traktujemy to jako początek, jako kredyt zaufania. Na pełne zaufanie długo pewno będziemy jeszcze pracować. Ważne, że Czytelnicy powiedzieli nam: tak, trzymać. No to będzie nam trzymać, dopóki będziemy mieć ręce i głowy. Razem z Czytelnikami chcemy trzymać rzeczywistość za puls, bacząc, by puls nie zaczął słabnąć. Bez nich, bez Czytelników, nie damy rady...

XVII OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

O „RUBINOWĄ HORTENSJĘ”

Celem konkursu jest popularyzacja młodej literatury współczesnej zaangażowanej w kształtowanie postaw społecznych i patriotycznych.

Prace dotąd nie publikowane i nie nagradzane należy nadsyłać pod adresem:

ZWIĄZEK SOCJALISTYCZNYCH MŁODZIEŻY POLSKIEJ
ZARZĄD WOJEWÓDZKI
97-300 Piotrków Trybunalski
al. B. Bieruta 4
z adnotacją na kopercie
„XVII RUBINOWA HORTENSJA”
w nieprzekraczalnym terminie do
dnia 31 marca 1981 roku.

Każdy uczestnik konkursu w dziale poezji winien nadesłać po trzy utwory koniecznie w 5 egzemplarzach maszynopisu, natomiast w dziale prozy do 20 stron koniecznie w 3 egzemplarzach maszynopisu.

Osoby, które nie publikowały do-

tych w ogóle swoich tekstów i nie brały udziału w żadnym konkursie literackim powinny dopisać zarówno na każdym egzemplarzu, jak i na kopercie „DEBIUT”. Do prac oznaczonych godłem należy dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą wewnętrznie imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

Nagrody w dziale poezji:
I nagroda — puchar „RUBINOWEJ HORTENSJI”
oraz 8.000 zł
II nagroda — 6.000 zł
III nagroda — 4.000 zł

W dziale prozy:
I nagroda — puchar „RUBINOWEJ HORTENSJI”
oraz 8.000 zł
II nagroda — 6.000 zł
III nagroda — 4.000 zł

Przewiduje się również wyróżnienia po 1.000 zł za najlepsze debiuty w poezji i prozie.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Echa radzieckich propozycji pokojowych, zgłoszonych z trybuny XXVI Zjazdu KPZR, nie ustają. Przedstawiony pakiet jest tematem szczegółowych rozważań przez koła polityczne na Zachodzie i w publikacjach prasowych. Wciąż największe zainteresowanie koncentruje się wokół możliwości radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie. W ub. tygodniu zabrał na ten temat głos prezydent Reagan. Uznał on propozycję za interesującą, ale równocześnie zaznaczył, że konferencja taka musiałaby być dobrze przygotowana, a sama idea spotkania się z przywódcą radzieckim wymaga konsultacji z sojusznikami Stanów Zjednoczonych. Jak ta wypowiedź jest interpretowana? Ze propozycja nie została odrzucona, ale — wręcz przyjęta, chociaż bez określenia terminu spotkania. Z faktu, iż amerykański prezydent mówił o potrzebie dobrego przygotowania szczytu, komentatorzy wyprowadzają wniosek, że z pewnością nie odbędzie się on szybko. Przewiduje się jednak, że Reagan nie postąpi tak, jak jego poprzednik w Białym Domu — J. Carter, który z przywódcą radzieckim spotkał się dopiero w drugiej połowie swej prezydenckiej kadencji. W sumie — jest nadzieja na szczyt, ale nie wiadomo, kiedy może się on zebrać.

Wiele komentarzy, i to także — jest zrozumiałe, wywołało polsko-radzieckie spotkanie na Kremlu, które odbyło się bezpośrednio po zakończeniu obrad zjazdu. Ze strony polskiej wzięła w nim udział delegacja na ten zjazd, ze strony radzieckiej przywódcy państwa. Jak wynika z opublikowanego komunikatu, głównym tematem rozmów była sytuacja w Polsce.

OŚWIADCZENIE ZWIĄZKÓW TWÓRCZYCH

W związku ze zwróceniem się Pana Prezydenta do Rady Stowarzyszeń i Związków Twórczych w sprawie opinii o ustaleniu priorytetu inwestycji związanych z budową Muzeum Sztuki czy Państwowego Filharmonii w Łodzi, Rada przedstawia poniżej swoje stanowisko powzięte w dniu 24 lutego 1981 roku.

Srodowiska twórcze Łodzi przypominają, że od dawna uporczywie lecz bezskutecznie alarmowały władze miejskie o katastrofalnych warunkach lokalowych tak Filharmonii, jak i Muzeum Sztuki. Srodowisko twórcze naszego miasta, świadome powyższego faktu, nie widzi powodów, by uważać się za moralnego spadkobiercę dokonywanych w przeszłości zaniedbań i zaniechań. Tym bardziej że przed laty istniał gotowy i przyjęty przez władze miejskie projekt (twórca, inż. Roman Mann) budowy nowego gmachu Filharmonii i ustalona była jego lokalizacja. Istniały także założenia projektowe nowego budynku Muzeum Sztuki i jego lokalizacja. Inwestycje te, których realizacja była przekładana z 5-letki na 5-letkę, zostały wreszcie całkowicie poniecane.

Rada Stowarzyszeń i Związków Twórczych stoi zdecydowanie na stanowisku, że w drugim co do wielkości mieście Polski, tak Filharmonia jak i Muzeum Sztuki są niezbędne dla prawidłowego rozwoju kulturalnego społeczeństwa.

Rada domaga się, by władze uczyniły wszystko dla realizacji obu inwestycji.

Rada przekazuje kategorię protest srodowisk twórczych naszego miasta przeciw arbitralnej decyzji o podjęciu remontu stoletniego gmachu Filharmonii i adaptacji dla jej potrzeb niewielu młodszych sąsiednich budynków mieszkalnych kosztem ponad 100 mln złotych. Koszt nowego gmachu PWSSP w Łodzi o powierzchni 16 tys. m kw. wyniósł niewiele ponad 150 mln zł.

RADA STOWARZYSZEŃ I ZWIĄZKÓW TWÓRCZYCH W ŁODZI

realne możliwości rozbrojenia. Stąd w pakiecie radzieckich propozycji sprzed kilku dni tyle uwagi poświęca się militarnym aspektom odprężenia. W takim czasie jedność i zespolenie krajów socjalistycznych mają podwyższoną cenę.

Po raz bodaj trzeci „Tydzień w polityce” jest monotematyczny. Nie oznacza to, że w świecie nie dzieje się nie ciekawego poza wybranymi przez nas tematami. Zgubiliśmy na przykład w tym cotygodniowym przeglądzie próbę wojskowego puczu w Hiszpanii, czy też trzy wizyty zachodnioeuropejskich polityków w Stanach Zjednoczonych. Nie komentowaliśmy przez trzy tygodnie wieńskich rokowań na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej, jak również przebiegu dyskusji w Komitecie Rozbrojeniowym. Nie starczyło miejsca na przedstawienie islamskiego projektu pokoju iracko-irańskiego. Co jednak uczynić, gdy spośród wielu ważnych są tematy dla nas najważniejsze?

W. SŁAWSKI

SPIS TREŚCI

„ODGŁOSÓW”

Informujemy naszych Czytelników, iż dysponujemy spisem treści naszego pisma za rok 1980. Zainteresowanych prosimy o nadsyłanie zgłoszeń pod naszym adresem do dnia 31 marca.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASINSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BIAŁEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAR, RYSZARD UCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRACJA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

niosły straty w wysokości 2,7 miliona zł.

Oto wyniki kontroli łódzkiej delegatury NIK, przeprowadzonej w czerwcu ubiegłego roku na terenie województwa piotrkowskiego. Tylko pod kątem budownictwa inwentarskiego.

W latach 1976-80 SKR otrzymały nakłady w wysokości 2,7 mld złotych, ale do połowy 1980 roku wykorzystywały tylko 1,7 mld złotych. Do 30 czerwca 1980 roku oddano do użytku 2.246 stanowisk dla bydła, 17.568 stanowisk dla trzody chlewnej, 2.200 stanowisk dla owiec oraz fermę dla 30 tys. sztuk niosek. W trakcie realizacji znajduje się 4.200 stanowisk dla bydła i ferma na 90 tys. brojlerów.

Gorzej jest z wykorzystaniem tych obiektów: pustych stoi 1.000 stanowisk dla bydła i 3.000 stanowisk dla świń. Mimo sytuacji ostrzegawczej SKR Opoczno zamierza w marcu 1981 roku oddać do użytku zbudowaną kosztem 140 mln zł fermę dla 1400 sztuk bydła. Fermę budowano z myślą, że SKR będzie miała własną bazę paszową na 1600 ha, w tym 1.100 ha użytków zielonych. Ale SKR posiada tylko 450 ha gruntów, w tym 400 ha użytków zielonych i w br. uzyska zaledwie... 6 ha. Skąd zresztą wziąć w gminie ziemię, skoro tuż obok gospodarzy PGR, hodujący 570 sztuk bydła, i spółdzielnia produkcyjna z 64 sztukami bydła. Ferma SKR jest nie tylko źle zlokalizowana, ale w ogóle niepotrzebna. Ale czy ona jedna? W ostatnich latach wyrosło na mapie kraju tysiące pomników głupoty, obiektów zbędnych, źle usytuowanych, które obecnie trzeba likwidować, albo adaptować do innych celów. SKR w Opocznie zabiera łąki, skarmia zielonki na świeżo lub sporządza kiszonki, a wielka suszarnia PGR o tzw. mocy przerobowej 10 tys. ton rocznie stoi nieczynna, bo nie ma co suszyć.

Żeby jednak obraz był zupełnie jasny, należy dodać, że SKR Opoczno zbiera trawy z 60-80 proc. łąk. Reszta trawy gnieje na pniu. W 1979 roku wskutek złego przechowywania zgniło w silosach 190 ton kiszonki wartości 160 tys. zł.

Inspektorzy NIK stwierdzili, że SKR Szczerów zbudowała kosztem 60 mln zł fermę bukatów (1.700 sztuk), ale nie będzie miała ich czym karmić, ponieważ zamiast 1800 ha gruntów ma tylko 600 ha. Ponadto na fermie są zdecydowanie złe warunki zoohigieniczne.

Tuczarnia w Wierzbicy, należąca do SKR Ładzice, nie będzie zasiedlona, ponieważ całkowicie zlikwidowano Zespołowe Gospodarstwo Rolne i nie ma bazy paszowej. Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Stobieczku też nie chce przejąć tej tuczarni, w której można hodować 1300 świń.

Od 1975 roku w Radziechowicach stoi pusta tuczarnia na 800 stanowisk.

W woj. piotrkowskim są 52 gminy i tyleż SKR. Nie wszystkie są tak złe, ale w wielu z nich marnuje się majątek społeczny. Niszczącej nie wykorzystane dobra inwestycyjne: domki typu „Mikołajki”, elementy warsztatów sprowadzane z zagranicy, kurniki typu „Gostyn”, o łącznej wartości 31 mln zł.

Należono symboliczne kary pieniężne na 3 osoby winne zaniedbań. Kilkaset milionów złotych ulokowano w murach, które nie dają. Puste obiekty nie spłacają się, nie dają mięsa, jaj i mleka.

Ale podłoże tej sprawy tkwi głębiej. Otóż wydaje się, że pomysł utworzenia Spółdzielni Kółek Rolniczych był całkiem niezły i sensowny. SKR bowiem miały skupić w jednych rękach sprzęt i zająć się wyłącznie świadczeniem usług dla całości gminy. Przy takim założeniu chłop mógł spokojnie zająć się pracą w gospodarstwie, bo większość robót polowych miała wykonać mu SKR. Ale tak się nie stało. Po czterech latach niezłych dla rolnictwa nadszedł czas, gdy zniechęceni polityką rolną państwa chłopcy zaczęli masowo rzucać ziemię i zatrudniać się na wielkich budowach socjalizmu. Pamiętamy, że już w tym czasie kółkom rolniczym zaczęło się na siłę wpychać chłopską ziemię.

I w tym miejscu decyzji popełnili poważny błąd. Otóż wiadomo jest powszechnie, że najwyższą produkcję, przy najmniejszych nakładach, dają małe gospodarstwa. Najwyższe plony zbierają na małych działkach rolnicy japońscy, bijąc pod tym względem znakomitych Holendrów. U nas jednak nikt nie wziął tego pod uwagę. Małe gospodarstwa przestały się liczyć, nie starano się zatrzymać na nich chłopów. Powstał wspaniały plan utworzenia w kraju latyfundiów i ferm-gigantów. W roku 1976 premier wydał zarządzenie, według którego ziemię z PFZ wolno było sprzedawać w pierwszej kolejności gospodarstwom wspólnym, a tylko w wyjątkowych wypadkach chłopom, i to właścicielom gospodarstw specjalistycznych.

Wszystką ziemię w gminie zaczęto przekazywać SKR, przy których po-

wołano Zespołowe Gospodarstwa Rolne. Władze liczyły, że z upływem czasu w gminach zlikwiduje się przynajmniej 50 proc. drobnych gospodarstw chłopskich. W roku 1975 do SKR w województwie piotrkowskim należało 6 tys. ha. Trust decydentów stwierdził, że w roku 1980 będzie przynajmniej 25 tys. ha, w tym 24,2 tys. ha użytków rolnych. W związku z tym Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych otrzymał polecenie budowy dużych ferm.

Dziś SKR w Piotrkowskiem użytkują 10 tys. ha i więcej nie dostają. Nie dziwny się więc, że wiele ferm stoi pustych. Ponadto zamrożono budowy chlewni, obór i kurników. W niektórych wypadkach wło-

śnią uprawiać. I te działki leżą odłogiem. Na innych działkach jest taki piach, że nie warto siać nawozów. No i nic tam nie rośnie. Może to i dobrze, bo straty są mniejsze. W SKR w woj. piotrkowskim średnia plonów czterech zbóż wyniosła 18,3 q z ha i jest to bardzo dobry wynik, chociaż u chłopów średnia dochodzi do 28 q z ha.

W woj. piotrkowskim 1,5 proc. ziemi należy do ZGR. Na tym niewielkim areale zbiera się 10 proc. zbóż i produkuje 10 proc. żywca. Gdyby ta ziemia miała leżeć odłogiem, to uzyskiwane wyniki trzeba uważać za sukces.

Ale pozostaje pytanie, jakim kosztem uzyskuje się podobne sukcesy?

ko płacić nie miał kto. SKR komenderowali sekretarze i naczelnicy, wskazując, co i gdzie należy robić. Przeciwnie takiemu komenderowaniu występowali sami chłopcy, bo to go dziło w ich interesy. Ale na decyzje z „centrali” nie było silnych. I tak SKR zaczęły z wolna przejmować nowe dziedziny działalności gospodarczej. Produkowały materiały budowlane, wznosiły różne obiekty, często wcale nie związane z rolnictwem, wykonywały czynny społeczny, ale nie na rzecz wsi, i w dodatku w innych gminach, zamiast w macierzystych. Doszło do tego, że SKR musiały produkować maszyny dla przemysłu w kraju, wykonywać linki do liczników motogodzin, regenerować opony, siać

tuczarnie w połowie puste, zimne, zwierzęta padają z chorób i głodu, albo okaleczają je szczury. A cały interes polega na tym, że SKR dostają stare, niskie ceny żywca, płacąc jednocześnie za materiał wyjściowy od kooperantów dość spono: 65 zł za kg warchlaka. Świnie masowo padają w betonowych chlewniach typu „Imier”, ale na poprawę się nie zanoszą, bo zmniejszować się tego nie da, brakuje funduszy na remonty, nie ma wykonawców.

Najbardziej niedorzeczne jest to, że w tym samym przedsiębiorstwie ZGR płaci SKR za usługi 150 proc. wartości ceny usług dla chłopów. Dlatego w ZGR pracownicy nie dostają premii, a koszt uprawy 1 ha ziemi wynosi 10 tys. zł.

Ostatnio nakłady na inwestycje w SKR o połowę obcięto i w błocie leżą gotowe elementy energowe. Czy to dobrze, czy źle? Weźmy dla przykładu wielkie bukiacznice. Zwierzęta zdychały tam od początku, ale gdy była wizyta gości z Warszawy, starannie ten fakt ukrywano. Wobec tego goście uznawali, że to jest dobre i trzeba budować dalej. I mamy teraz te wspaniałe betonowe bunkry pełne chorych zwierząt. Bo nie ma tam jak usuwać obornika i gnojowicy, jest za dużo wilgoci. Zimą w bukiacznicach i oborach zamarała woda, a latem temperatura sięga trzydziestu stopni. Szerzą się choroby zakaźne, ponadto zwierzęta nie zjadają pastwiska, są bez przerwy uwiązane na betonie lub metalowej kratce, w ciasnych stanowiskach, brudne i zaniedbane; niewłaściwe żywienie i pielęgnowanie powodują znaczny wzrost zachorowań, bywa i tak, że na 1.000 byków 300 nie może stać z powodu chorób kończyn i trzeba je zabijać, zanim osiągną właściwą wagę.

Przyrosty są słabe, chociaż na 1 kg wołowy zużywa się często po 20 kg paszy treściwej. Bo część paszy ukradną pracownicy. Ale skąd takie ilości paszy i aż takie koszty produkcji zwierzęcej? Zaden chłop nie chce ziemi w drugiej wsi, bo jak przyjdzie burza, to siano nie zdąży zebrać. Chłopu opłaca się dojeżdżać do pola odległego o 3-4 km. Tymczasem SKR, która posiada bukiacznik, codziennie musi dowozić tony zielonej masy z odległości 10-15 km. To dopiero kosztuje! Chyba więc dobrze, że zamrożono niektóre inwestycje, przynajmniej nie robij się dalszych strat. Bo jak nie ma ziemi, to zwierzęta albo karmi się państwową paszą treściwą, albo się ich nie dożywia, i straty są jeszcze większe.

SKR nie posiadają własnych magazynów i zboże sprzedają państwu, a potem kupują paszę. Żyto sprzedają po 400 zł za kwintal, a jęczmień kwalifikowany (z którego często niewiele wyrosnie) kupują po 1000 zł za kwintal. Za kukurydzę płacą po 800 zł. Ile kosztuje wyprodukowanie 1 kg mięsa, strach obliczać.

Od dwóch lat mówi się o likwidacji Zespołowych Gospodarstw Rolnych, toteż kierownicy boją się podejmować jakieś śmielsze decyzje. Machają na wszystko ręką, bo firma się rozleci, a ich zdejmą. I sytuacja pogarsza się, sięga dna.

Likwiduje się ZGR przede wszystkim tam, gdzie nie ma budynków inwentarskich. Szkołup w tym, że nie ma chętnych na to całe smutne dziedzictwo. PGR i RSP nie kwapią się do przejęcia budynków inwentarskich. I tak zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Bo przecież ziemia nie może leżeć odłogiem.

Trzeba więc stworzyć odpowiednie warunki chłopom, dać im takie fundusze na zagospodarowanie przejmowanej ziemi, jak gospodarstwom wspólnym, a na pewno ziemia ta szybko da dobre plony. Likwidacja ZGR podniosłaby poziom usług, gdyż dzięki temu sprzęt można by w pełni wykorzystywać na polach chłopskich. Jak bowiem wykazują badania, tylko 30-40 proc. dochodów SKR pochodzi od rolników, reszta zaś z innych źródeł, m. in. z prac wykonywanych na gruntach ZGR.

Sprzętu jednak jest mało i nie należy go rozdrabniać. Dlatego też Spółdzielnie Kółek Rolniczych powinny istnieć. Ale bez tej nieszczejnej, rozproszonej ziemi i wielkich ferm hodowlanych. SKR muszą istnieć, aby należycie spełniać swoje obowiązki gospodarcze. Jest wiele drogich maszyn, wykorzystywanych raz do roku, których rolnicy nie mogą kupować, bo jest to dla nich nieopłacalne. Poza tym chłopcy nie mogą zajmować się wszystkimi pracami w gospodarstwach. Chodzi o to, żeby SKR zajęły się rzetelnie usługami specjalistycznymi: wapnowaniem gleb, suszarnictwem, remontami maszyn, budownictwem, parowaniem ziemniaków, chemizacją. Jeżeli na wsi będą działać skutecznie silne związkowe organizacje chłopskie, to z fachowością i terminowością usług nie powinno być kłopotów.

SMUTNE DZIEDZICTWO

żono w obiekt 50 mln zł, do zakończenia zabrakło 10 mln, lecz mimo to budowę wstrzymano.

Wydaje się, że SKR stały się ofiarą systemu organizacyjnego i gospodarczego w momencie, gdy powołano przy nich Zespołowe Gospodarstwa Rolne. Przede wszystkim dlatego, że gdy SKR zajęły się uprawą własnej ziemi, sprzęt i ludzi trzeba było skierować na własne pola, w związku z czym chłopcy zostali pozbawieni usług, dla nich SKR nie miały czasu.

I teraz zaczęła się smutna parodia rolnictwa. Można by mniemać, że decydecji, powołując ZGR, utworzyli parawan, który miał osłaniać błędną politykę rolną. SKR była najbliższą, toteż wystarczyło na nią skierować gniew chłopski, a samemu na „górę” być czystym. Trzeba przyznać, że chłopcy mieli na co patrzeć i bluźnić. Przykład: ZGR przy SKR w Szczerowie ma 500 ha gruntów, ale w 400 kawałkach. Można

W kraju mamy ponad 2 tys. gmin i tyleż SKR. Wszystkie są dotowane. Pośród nich jest wiele takich, które np. dostają 5 mln dotacji i robią 10 mln strat. Jak to się dzieje?

SKR przejmowały z kółek rolniczych sprzęt zajęty, często zdezastrowany. Trzeba było naprawiać najprostszy sprzęt np. do mechanicznego zwalczania chwastów, bo nie można sypać w ziemię bez przerwy trujących proszków. Trzeba było także remontować maszyny chłopskie, gdyż POM w zasadzie wycofały się z tego interesu. I trzeba było świadczyć usługi w pracach polowych. W niektórych SKR ciągnik wytrzymuje 9 lat, w innych po roku idzie do kasy. Traktorzyści są źle szkoleni, mało zarabiają i nie mają żadnych bodźców, żeby oszczędzać sprzęt. Dyrektor SKR musiałby latać helikopterem, żeby sprawdzić, na jakiej działce w gminie akurat pracuje traktorzysta. A on często pracuje u chłopca, na fuchę, albo przetacza pa-

rośliny egzotyczne, które u nas nie rosną, handlować częściami zamienionymi, a nawet budować według wspaniałych projektów domy starców, z których trumny nie można było wynieść. Płacono im za to uśmiechem, pochwałami, albo dawano niskie ceny za usługi. A płace rosły, drożały maszyny i paliwo, pogłębiał się deficyt.

Z chwilą powstania Zespołowych Gospodarstw Rolnych przybyło nowych obowiązków. Każda z SKR miała np. prowadzić własną pasiekę. Jak taką założyć? Zwyczajnie, kupić wszystkie psie od chłopów. Było to więc tylko „przemieszczenie” uli i pszczół. Z tym, że miodu było mniej.

Generalny brak ludzi do pracy sprawił, że koszty produkcji na rozdrobnionej ziemi stały się bardzo wysokie, m. in. poprzez koszty maszyn. W SKR jest najniższa w kraju obsada ludzi na 100 ha. W niektórych SKR na 100 ha pracują dwie o-



Foto: R. Lucyszyn

więc sobie wyobrazić, ile ubawu mieli chłopcy, widząc, jak traktorzysta jeździ po całej gminie i szuka działki, którą trzeba uprawić. Zdarzało się, że traktorzysta nie trafił pod właściwą gruszę na miedzy i przez pomyłkę uprawił chłopskie pole. Inny nieświadomie skosił chłopu żyto, a nawet wykopał ziemniaki. A na działce SKR sypało się zboże napniu albo od wiosny do jesieni rosły chwasty.

Należy obiektywnie stwierdzić, że przejęta w setkach kawałków ziemi należała do najgorszych klas. Pracownicy SKR stwierdzają uczciwie, że mają wiele działek zaniedbanych, zarosniętych, wymagających rekultywacji, których nie opłaca im

liwo ze swojego ciągnika do baku u chłopca.

Nie wszystkie SKR mają własne stacje paliwowe, z których mogłyby korzystać także chłopcy. Jeździł się więc co drugi dzień beczkowozem po paliwo, często na odległość 50 km, i to także podnosi koszty produkcji.

Z czasem do SKR zaczęły nadchodzić nowoczesne maszyny, ale coraz droższe, i przez to rosły koszty produkcji. Bo usługi są tanie. Ciągnik musi przepracować 1.000 godzin, żeby zarobić na siebie. Ale przy wozeniu żwiru nie zarobi. Wiesz cierpi na brak środków transportowych, a tymczasem ciągniki z SKR musiały świadczyć usługi na rzecz przemysłu oraz wielu instytucji gminnych, tyl-

soby, ale są i takie, gdzie w ogóle nie ma ludzi. A traktorzyści mają też swoje działki i pracują na nich po kryjomu, najczęściej kosztem usług na polach SKR, rzadziej na polach chłopskich. Traktorystom potrzebne są nawozy, ziarno siewne, pasze treściwe, więc zawsze potrafią uszczuplić trochę dobra SKR. Chłopcy też skorzystają z okazji.

Sama produkcja roślinna nie obciążałaby tak SKR, ale przyszły fermi hodowlane. Jeden z sekretarzy wojewódzkich polecił wybudować chlewnię na 800 świń... bez wody. Ludzie mówią, że to nonsens, a władza, że wszystko w porządku. Woda będzie się dowozić. Z odległości pięciu kilometrów. Stoją teraz wielkie

RYSZARD BINKOWSKI

ODGŁOSY 3

Ciąg dalszy ze str. 1

„ODGŁOSY”: Jak należy to rozumieć?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Przedstawiciele Ośrodka brali udział w podpisywaniu porozumień na szczeblu zakładów i porządkowaniu ich gospodarki. Polegało to często na wyłączeniu niektórych zakładów z kombinatów. Na przykład z „Wifamy” wyłączyliśmy hydraulikę siłową, bo to była sztuczna symbioza. Wachlarz problemów pogłębił się w miarę pogarszania się sytuacji rynkowej w naszym kraju. Zastąpiła więc potrzebę porządkowania także tych spraw. Musieliśmy interweniować w Piotrkowie i Sieradzu, pomagając się zwiększenia dostaw światłecznych. Z naszej inicjatywy otrzymaliśmy przed świętami kartki na szlachetne gatunki wędlin. Bierzymy także aktywny udział w pracy sztabu żywieniowego przy Prezydencie m. Łodzi.

„ODGŁOSY”: Z tego, co pani mówi, wynika, że przeważają działania interwencyjne. A kiedy przyjdzie czas na badania, do których Ośrodek został powołany?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: To prawda, że nadal utrzymują się tendencje interwencyjne w naszej pracy, bo taka jest potrzeba chwili, a od rzeczywistości nie wolno się odwracać. Pozostało wiele nieprawidłowo załatwionych spraw płacowych. Na przykład w tak szacownej instytucji jak Teatr Wielki w Łodzi, dopiero ostatnio pracownicy otrzymali podwyżki. Wymaga generalnego uregulowania sprawa płac w spółdzielczości, która jest na własnym rozrachunku, więc podwyżki płac rzutować będą na wysokość dywidendy. Interwencyjnie zajęliśmy się sprawą nieprawidłowości w przydziałach talonów na samochody.

„ODGŁOSY”: Przypominam sobie, że indagowany w tej sprawie prokurator wojewódzki w Łodzi stwierdził, że wyjaśnienie tej sprawy przeraża możliwości prokuratury...

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: My, na szczęście, mamy takie możliwości. Wystąpiliśmy do innych MKZ, które przyłączyły się do naszej akcji sprawdzania mieszkańców Łodzi, bo jak panu chyba wiadomo, odbiór samochodów następował w różnych „Polmozytach” na terenie całego kraju. Robimy to zresztą jako jedyny MKZ w Polsce, gdyż uważamy, że może się to przyczynić do oczyszczenia społecznej atmosfery. Będziemy żądać wykluczenia osób, które nieprawidłowo zrealizowały talony — z przedprzedaży samochodów. W ten sposób będzie krótsza kolejka dla ludzi uczciwych.

„ODGŁOSY”: A więc akcja „Polmozyt”. Czy to jedyne tego rodzaju przedsięwzięcie waszego Ośrodka?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Bierzymy udział w kontrolach budownictwa indywidualnego np. w Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej nr 1 Łódź — Górna. Jest to tym razem kontrola już nie tylko problemowa, lecz dochodzeniowa. Na spotkaniu z min. Jabłońskim uzgodniliśmy, że zostanie cofnięte zarządzenie zezwalające przedsiębiorstwom państwowym realizowanie zamówień prywatnych. Nazywamy to akcją „pudełeczko”. Do budowy prywatnych wili angażowano najlepszych robotników, deficytowe materiały i nie zawsze prawidłowo rozliczano zleceniodawców z wysokiego szczebla, z ministerstw, zjed-

noczeń, z aparatu partyjnego. Mamy takie przykłady w ŁPB „Południe” czy ŁPB „Północ”.

„ODGŁOSY”: Tymi sprawami, jak choćby osławionym „modrzewiowym dworkiem” Jerzego Lorensa zajął się już NIK. Czy to nie jest dublowanie?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Kontrola NIK w tym zakresie zupełnie nas nie satysfakcjonuje. Będziemy dążyć do ustalenia stanu faktycznego na podstawie dokumentów znajdujących się w posiadaniu przedsiębiorstw budowlanych i porównywaniu ich ze stanem faktycznym. Jest rzeczą zastanawiającą, że na żadnej z list zleceniodawców nie ma robotników ani szeregowych pracowników, tylko sami promieniści. Robotnicy nie korzystali z tych

trawstwa przyczyniają się nieuzasadnione społecznie technologie podrażające i tak wysokie koszty. Na przykład na peryferiach miasta układa się astronomicznie materiałochłonne chodniki. Stosowanie partackiego lenteksu powoduje konieczność kilkakrotnej wymiany tego nieudanego tworzywa. W moim własnym mieszkaniu będę przechodziła trzecią zmianę podłogi w ciągu kilku miesięcy. Chyba nas nie stać na podobne marnotrawstwo.

„ODGŁOSY”: A co z kontrolą stanowisk pracy? Nieprawidłowości dotyczą przecież nie tylko budów.

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: W naszym ośrodku znajduje się sekcja inspekcji pracy. Problemem tym zajęła się także Najwyższa Izba Kontroli, ale NIK może to robić spo-

niać faktyczny stan cen i kosztów utrzymania. Regulacja dotyczyć musi nie podwyższania cen, ale i ich obniżania, tam gdzie zysk jest zbyt duży (z wyjątkiem alkoholu), co musi znaleźć odbicie w taryfikacjach placowych.

„ODGŁOSY”: Sprawy płacowe na pewno wymagają sprawiedliwego uregulowania, ale tymczasem obserwujemy zjawisko nadmiernej ilości pieniędzy na rynku. Kłopoty z zaopatrzeniem w najprostsze produkty rzutują na jakość życia, która systematycznie się obniża. Czy jest jakieś wyjście?

BOGUSŁAW PORWISIAK: Wyjścia, które zadowoliliby wszystkich, dając natychmiastowe rozwiązania nie ma, ale w wyniku niedoboru artykułów żywnościowych na ryn-

pomysłodawcę. Na przykład na ostatniej sesji Sejmu Mieczysław Moczar ustosunkował się pozytywnie do sprawy uruchomienia rezerwy mięsa, nie wspominając jednak, że jest to projekt MKZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej. Także min. Zaleski 14 lutego br. przed kamerami telewizji nie wspominał twórców projektu. Można by o tym nie wspominać, gdyby projekt był realizowany. Tymczasem przyszły jego wykonawca, Centrala Rolniczych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, do momentu przyjazdu przedstawiciela Ośrodka MKZ nie wiedział o czekających go zadaniach.

„ODGŁOSY”: Mówimy tu tyle o sprawach gospodarki żywnościowej. Ile jest prawdy w pogłoskach, że z żywnością w rzeczywistości nie jest tak źle, tylko celowo ją się magazynuje?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Brałam udział w wizytacji magazynów, co prawda była to wyrwykwa kontrola. Słodyczy był zapas co najmniej dziesięciodniowy, brakowało serów, natomiast do chłodni mięsnych w rejonie Zabienca nie wpuszczano nas informując, że wymaga to zezwolenia premiera. Wobec tego nie podjęliśmy tam kontroli. Na zapleczu sklepu „Konsumy” przy Piotrkowskiej 101 natrafiłszy na bardzo duże zapasy brakujących na rynku artykułów żywnościowych (masło, szynka, polewica, szpam, siodła). Prawo zaopatrywania się w tym sklepie należy do niewielkiej grupy uprzywilejowanych osób. Kontrola ta wzbudziła we mnie mieszane uczucia. Nie zostałam przekonana w sposób dostateczny o aż tak dotkliwym braku artykułów, jak to odczuwamy na rynku.

BOGUSŁAW PORWISIAK: Aktualnie zajmujemy się także problemem rezerw paszowych, ale podchodzimy do niego ostrożnie, bo nie chcemy uprawiać sztuki dla sztuki. Będziemy się domagać więc uprzedniego zrealizowania projektu reaktywowania małych ubojni.

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Proszę się nie dziwić, że mówimy tu tyle o mięsie. W związku z regulacją artykułów żywnościowych jest to naprawdę ważna sprawa. Wyngocjowaliśmy zmianę norm żywnościowych dla dzieci w niektórych przedziałach wiekowych oraz objęcie regulacją również osób niepracujących. Prowadzimy rozmowy zmierzające do objęcia regulacją dodatkowej grupy matek, a także przesunięcia jakościowego masy mięsnej dla dzieci (wyłącznie w I asortymencie). Mamy zagwarantowane, że te sprawy znajdą odbicie najdalej w ciągu 60 dni od daty wprowadzenia regulacji, która, jak wiadomo, znacznie obowiązywać już od 1 kwietnia rb. Jest bowiem rzeczą niezaprzeczalną, wbrew temu, co twierdzi Ministerstwo Handlu i Usług, że przynajmniej nie są normami wystarczającymi, ale minimalnymi, ponieważ nie gwarantują prawidłowego rozwoju dzieci i biologicznej regeneracji ludzi dorosłych, zwłaszcza przy braku na rynku żywnościowym artykułów uzupełniających jak sery, ryby, a ostatnio nawet mleko.

BOGUSŁAW PORWISIAK: Ośrodek posiada szereg koncepcji i projektów w odniesieniu do gospodarki żywnościowo-surowcowej, które jednak mogą być zrealizowane tylko przy przychylnym stanowisku władz centralnych. Władze wojewódzkie popierają nasze koncepcje nawet starają się je realizować, ale to nie wystarczy, bo potrzebne są rozwiązania globalne, wymagające decyzji na najwyższym szczeblu.

„ODGŁOSY”: Jak sobie radzicie z tymi wszystkimi sprawami przy tak skąpej obsadzie personalnej?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Do 1 lutego praca ośrodka miała charakter społeczny. Na badanie spraw poświęciliśmy nawet urlopy wypoczynkowe. Dopiero ostatnio ośrodek zaczyna się formować instytucjonalnie. Pracowaliśmy głównie (przy ul. Sienkiewicza) w godzinach późnowieczornych i w nocy, po ustaniu przepływu ludzi. Ale i w nowej siedzibie przechodził nam pracować w wolne soboty. Bo jak powiedziałam wiele spraw trzeba załatwiać interwencyjnie. Staraliśmy się na przykład rozwiązać sprawę tymczasowego zakwaterowania w hotelach robotniczych część załogi „Ariadny”. Dzięki interwencji „Solidarności” uzyskano wreszcie nowy lokal dla Spółdzielni Inwalidów im. Hibnera.

„ODGŁOSY”: A jak ocenia pani perspektywę współpracy z władzami?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Zyczytałabym sobie, aby nasza współpraca z władzami układała się na zasadzie konsultacji, wzajemnego zrozumienia. Dotychczasowa praktyka w tej dziedzinie pozwala na umiarkowany optymizm, jeśli chodzi o władze wojewódzkie. Na szczeblu dyktorskim bywa różnie. Kierownicy zakładów bardzo często traktują nas jak ludzi, którzy budzą ich z głębokiego snu.

„ODGŁOSY”: Dziękujemy za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDICH

„SOLIDARNOŚĆ” ZNACZY GOSPODARNOŚĆ

dobrodrożestw. I to oni sygnalizują nam nieprawidłowości. Szereg tego typu spraw zgłoszyli nam załogi zakładów pracy. Ośrodek nasz zatrudnia fachowców-kontrolerów, którzy mają pełne ręce roboty, wyjaśniając często ogromnie zawiłane sprawy.

„ODGŁOSY”: Nie tak dawno MKZ opublikował listę „Skogaru”...

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Sprawa listy „Skogaru” nie jest zamknięta. Uważamy odpowiedź łódzkiej prokuratury za wymijającą. W oparciu o dotyczące tej sprawy przepisy przestaliśmy kompletować dokumentów do Sejmu PRL. Podobne sprawy miały miejsce w innych zakładach pracy. Na przykład w „Wólciance” osoby uprzywilejowane nabywały na specjalnych warunkach koszuły, w „Dywilanie” dywany, w „Zecie” garnitury, w „Polsporcie” dresy. Wszelkimi sposobami utrudniamy się dotarcie do dokumentów, licząc widocznie, że się zrazimy trudnościami i sprawa przyschnie. Ale są to pienne nadzieje.

„ODGŁOSY”: A czym ośrodek zajmuje się aktualnie. Nie możecie chyba narzekać na brak zajęć?

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Problemy podsuwa samo życie, dlatego zajęliśmy się sprawą budownictwa mieszkaniowego. Rzecz w tym, że realizacja Porozumienia Gdańskiego, gdzie zagwarantowano skrócenie czasu oczekiwania na mieszkanie do 5 lat, nie może być dokonana kosztem jakości mieszkań i obniżenia normy metrażowej. Tymczasem w budownictwie niewiele się zmieniło, w dalszym ciągu dochodzą nas sygnały o nagminnym nadużywaniu alkoholu, marnotrawstwie materiałowym i pozorowanej pracy. Opowiadamy się zdecydowanie za pracą efektywną. Rozpoczęliśmy kontrole na budowach w dniach wypłat i po wypłacie. Potwierdziły się najgorsze przypuszczenia. Członkom „Solidarności” nadużywającym alkoholu zagroziłmy usunięciem ze związku. Niestety, do powiększenia marno-

radycznie, my zaś będziemy się zajmować systematycznie. Sekcja jest w fazie organizacyjnej, ale od razu musiała interweniować, nim jeszcze okrzepła. W przyszłości będziemy robić kontrole planowane.

„ODGŁOSY”: Przypina jednak pani, że są to wszystkie działania nieaktywne przy istniejącym bałaganie gospodarczym...

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Od czegoż trzeba zacząć, choć „Solidarność” myśli przyszłościowo. To warunki zmuszają nas do działań doraźnych. Niech nikt jednak nie liczy na to, że piętrząc trudności zniechęci nas do działania na rzecz społeczeństwa. Prawdziwe rozwiązanie wielu spraw upatrujemy w rzeczywistej reformie gospodarczej, której jesteśmy rzecznikami. Ośrodek będzie musiał współdziałać w przygotowaniu załóg do tej niezbędnej operacji. Powiem od razu, że niełatwym i niewdzięcznym zadaniem dla naszego związku jest sprawa przekwalifikowania tysięcy ludzi. To konsekwencja uchwały nr 113 Rady Ministrów. Dlatego prowadziliśmy rozmowy z dyrektorem Wydziału Zatrudnienia m. Łodzi, mające na celu zmniejszenie napływu siły roboczej spoza naszego miasta. Trzeba bowiem zabezpieczyć miejsca pracy na terenie miasta dla tych, którzy zostaną wyrzuceni z dotychczasowych zakładów pracy. Niełatwą sprawą także związana z reformą będzie kwestia regulacji cen i zagwarantowanie rzeczywistych rekompensat, zwłaszcza dla mniej zarabiających. A jest to jednocześnie szansa wyrównania dzisiejszych dysproporcji płacowych. Nie wolno nam przy tych rekompensatach zapomnieć o trudnej sytuacji rencistów i emerytów.

Biorąc pod uwagę cały kompleks czynników związanych z reformą gospodarczą zawiesiliśmy chwilowo wywegzkwowanie od rządu układów zbiorowych w zakładach pracy, gdyż układy te muszą przecież uwzględ-

ku, zwłaszcza mięsa, chcieliśmy przynajmniej wyjaśnić przyczyny tej sytuacji. Już w grudniu z inicjatywy naszego MKZ został złożony w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego i Skupu projekt uruchomienia rezerwy mięsa i tłuszczów. Według wstępnych danych są to wielkości rzędu 20–30 tys. ton za rok 1980 w skali kraju. Uruchamiając te rezerwy można by bez problemu wyżyć Łódź w ciągu pół roku. A co ważniejsze potrzebne są tu tylko działania organizacyjne, prawie bez nakładów finansowych. Projekt został przyjęty i miał być niezwłocznie realizowany, co ostatecznie przerył min. Jan Zaleski oczekując, jak stwierdził, na dalsze podobne projekty, nawet niedopracowane. Niestety, w ślad za zapewnieniami nie nastąpiły żadne decyzje władz centralnych, które same uznały konieczność realizacji naszego projektu. Dzięki niezłej układającej się współpracy z władzami Łodzi usilujemy więc projekt zrealizować przynajmniej w skali naszego województwa, napotykaemy jednak przewidywane trudności biurokratyczne. Tendencja ta ujawniła się zwłaszcza w łódzkim Sanepidzie, który zastrącał się koniecznością ochrony środowiska dość jednostronnie interpretując przepisy.

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Przypuszczam, że urzędnikom chodzi tu przede wszystkim o zaoszczędzenie sobie dodatkowych kłopotów.

BOGUSŁAW PORWISIAK: Społeczeństwo a nawet władze centralne opowiadają się za jak najszybszą realizacją projektu. Chodzi tu przede wszystkim o reaktywowanie małych ubojni, co przyczyni się do uniknięcia strat wagowych żywcia. Tych ubojni, zupełnie niewykorzystywanych, jest w całej Polsce około 500. Przy regulacji liczy się każdy kilogram mięsa. Powiedziałbym także, że system kartkowy wprost narzuca konieczność zaopatrywania ludności w świeże mięso z najbliższej miejscowości, co daje dodatkowe oszczędności transportowe.

„ODGŁOSY”: Przypina się jeszcze, że zupełnie nie mogę zrozumieć tych oporów.

BOGUSŁAW PORWISIAK: My także, dopiero ostatnio, jakby coś drgnęło w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego i Skupu.

JADWIGA SZCZESKIEWICZ: „Solidarność” usiłuje się często przedstawiać jako organizację, która tylko stawia żądania, głównie płacowe. Tymczasem my nie uchylamy się od działań pozytywnych, naprawczych. Jest paradoksem, że sprawy płacowe zostały załatwione szybko, natomiast na opory natrafia sprawa oszczędnej gospodarki. Napotykać tu najczęściej sprzeciw kierownictwa. To wskazuje, że reforma gospodarcza może natrafić na podobne opory. Postawiliśmy więc sobie zadanie zapoznania społeczeństwa ze wszystkimi projektami reformy gospodarczej, a nie tylko zespołu rządowego, abyśmy mogli z pełną świadomością współdziałać w jej realizacji. Z ramienia MKZ Uniwersytet Łódzki był w grudniu ub roku organizatorem krajowej konferencji „Reforma gospodarcza a warunki realizacji porozumień społecznych”. Konferencji przysłużył się także pełnomocnik premiera PRL. Muszę jednak powiedzieć, że współpraca z władzami nie jest wcale łatwa. Badaliśmy na przykład pracę przedsiębiorstw budowlanych w Piotrkowie i po zebraniu materiałów przeciwko wojewódzkim prominentom przekazaliśmy je NIK i prokuraturze. Było to w styczniu rb. Do dziś brak odpowiedzi.

BOGUSŁAW PORWISIAK: Albo brak odpowiedzi, albo pomija się



JADWIGA SZCZESKIEWICZ: Prawdziwe rozwiązanie wielu spraw upatrujemy w rzeczywistej reformie gospodarczej...



BOGUSŁAW PORWISIAK: Wyjścia, które zadowolą wszystkich, dając natychmiastowe rozwiązanie, nie ma...

Foto: R. Łucyszyn

Nikt nie wiedział, czy wagon nr 150 23075, stojący na stacji PKP Radomsko jest tym, który powinien tu dotrzeć.

Sensacyjna wiadomość

Mnie, wytrawnego czytelnika powieści kryminalnych, zainteresowała informacja w „Głosie Robotniczym”, opublikowana 24. II. 1981 r. pod frazującą tytułem „Sprawy ujęci po kilku godzinach — Kradzież antybiotyków wartości 1,4 mln zł na stacji w Radomsku — Wagon z cennymi lekarstwami stał przez miesiąc na boczni kolejowej”.

W dn. 20 lutego bież. roku, około godziny 16, Komenda Miejska Milicji Obywatelskiej w Radomsku powiadomiona została o włamaniu dokonanym do wagonu towarowego stojącego od miesiąca na boczni tamtejszej stacji kolejowej. Przewożony nim był z Bulgarii do składnicy nr 1 „Cefarmu”, znajdującego się w tym mieście, silny antybiotyk o nazwie „Gentamycyn” 80 mg — 2 ml. Łączna wartość przesyłki wynosiła ponad 615 mln zł. Skradziono dwie skrzynki tego lekarstwa na sumę blisko 1,4 mln zł. W wyniku energicznej akcji, podjętej przez funkcjonariuszy Komendy Miejskiej MO, jeszcze tego samego dnia aresztowano dwóch 21-letnich mieszkańców Radomska. Jedną skrzynkę i część drugiej znaleziono zakopane w pobliskim lesie. Wartość odzyskanych leków wynosi około 900 tys. zł. Pozostała ilość sprawczy kradzieży zdążyła już rozprzecznić wśród okolicznych mieszkańców (...).

Przeczytawszy tę wiadomość zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem w Radomsku nie działa zgrana grupa złodziei rozbijających wagony z drożymi lekami.

Złodzieje

19 lutego 1981 roku do Komendy Miejskiej w Radomsku dotarła informacja, że w mieście pojawiły się bliżej nie określone leki, sprzedawane i rozdawane przez jakichś ludzi. Jednym z nich był Jarosław D. (imię i nazwisko zostały zmienione).

Jarosław D. był już znany milicji. Podejrzewano go między innymi o kradzież mieszanek paszowych z Dobryszyc.

W Dobryszycach jest mieszalnia pasz. Mieszalnia nie ma jednak właściwej rampy kolejowej. Rampa właściwa jest, tyle że nie podlega mieszalni w Dobryszycach i jest od niej sporo oddalona. Załadowane wagony stoją na tej rampie po 15 godzin i dłużej, toteż często zdarza się, że rolnicy wykorzystują tę „okoliczność” na swoją korzyść. I, normalnie, kradną mieszanke. Tym bardziej że wagony stoją właściwie bezpańskie.

20. II. 1981 roku przyjechał do Radomska, na stację PKP, celnik z Łodzi, żeby dokonać odprawy wagonu nr 150 23075. Odkrył, że na wagonie zerwano plombę. Powołano wówczas komisję, która otworzyła wagon i stwierdziła, że brakuje dwóch skrzynek Gentamycynu oraz dwóch pudełek Spasmalgonu (lek przeciwbólowy).

Wartość brakujących leków według cen detalicznych wynosiła 1 mln 391 tys. 040 zł. Cała przesyłka kosztowała 61 mln 509 tys. 569 zł.

Milicja nie miała już wątpliwości. Skoro w Radomsku pojawiły się jakieś leki, skoro wiadomo się do wagonu stojącego na boczni PKP i wykradziono stamtąd antybiotyk, sprawa była jasna.

Jarosław D. opowiedział prowadzą-

cemu śledztwo, jak to się stało. Było ich trzech. Ktoś doniósł, że na boczni PKP stoi bezpański wagon. Postanowili sprawdzić, co w nim jest. Otworzyli. Skrzynki przypominały opakowania, w jakich przewozi się pomarańcze. Zabraли dwie. Ponieważ w skrzynkach były nie pomarańcze, a leki, postanowili ukryć łup. Najprościej było zrobić to w lesie.

W lesie, koło Dobryszyc, milicja znalazła we wskazanym przez Jarosława D. miejscu skrzynki z Gentamycynem. Jedną całą, drugą już rozbity bez sporej części leku. Okazało się bowiem, że część tego specyfiku złodzieje rozdali wśród znajomych albo i sprzedali, do czego nie chcieli się przyznać. Milicja odebrała lek, ale to nie było wszystko. Złodzieje przyznali się jeszcze, że część opakowań wyrzucili na trasie Piotrków — Katowice. Milicja znalazła na tej trasie już tylko puste kartony.

I teraz prosty rachunek. Wartość skradzionych leków wyniosła 1.391.040 złotych. Milicja odebrała leki wartości 1 mln 040 tys. zł. Zostało jeszcze nie ujawnionych leków o wartości 351 tys. 040 zł. Jeśli 10 ampulek Gentamycynu kosztuje 3.220 zł — to możemy przyjąć, że zostało jeszcze wśród ludzi ponad 1000 ampulek antybiotyku. Piszę — ponad, ponieważ według danych posiadanych przez Urząd Celný w Łodzi, poza skradzionymi skrzynkami Gentamycynu, brakowało również 2 pudełek Spasmalgonu. Stąd wyliczenia mogą być niezupełnie ścisłe.

Te brakujące ampulki, to potencjalne zagrożenie dla tych, którzy chcą się leczyć ukradzionymi specyfikami. Wprawdzie ZOZ w Radomsku został powiadomiony, że taka a taka seria leków nie może być w żadnym wypadku stosowana, ale nieswiadomi pacjenci mogą zechcieć korzystać z nich również poza Radomszczańskiem.

Wagon — widmo

Nikt do tej pory nie wie, czy wagon nr 150 23075, stojący na stacji PKP w Radomsku jest tym, który powinien tu dotrzeć.

Nie podejmuję się opowiedzieć Czytelnikom, jaką naprawdę drogę przebył wagon z lekami, zanim trafił do Radomska. Nie podejmę się, bo to zbyt skomplikowane.

Bo oto wagon z Sofii wyruszył prawdopodobnie do Polski w dniu 21 listopada 1980 roku. Tak to przynajmniej wygląda, według jednego podstawowego dokumentu, posiadanego przez CHZ „Ciech” w Warszawie. Co się z tym wagonem działo do stycznia 1981 roku, Bóg i PKP mogą tylko wiedzieć.

Fakty, jakie udało mi się ustalić ze skąpych i podniszczonych mocno dokumentów PKP, są takie:

— 13. 01. 1981 wagon był na stacji Toruń Wschodni;

— 15. 01. 1981 skierowano wagon do stacji Sierpe na bocznię Browar. Tam odladowano 1 sztukę przesyłki. Jakiej? Nie wiadomo;

— 19. 01. 1981 wagon skierowano do stacji Ostróda, gdzie wyładowano 2 przesyłki, a pozostałość wysłano do Olsztyna;

— 26. 01. 1981 — wagon był już w Olsztynie. Głowy nie dam, że to była dokładna data, bo dokument kolejowy był tu akurat prawie nieczytelny. Ale w Olsztynie był na pewno, bo jedna plomba, znaleziona przez celnika z Łodzi, pochodziła z Olsztyna.

Potwierdzają to zresztą dokumenty, które posiada ekspedycja stacji PKP w Radomsku. Wynika z nich, że wagon z Bydgoszczy Główny pojechał po jakimś tam, być może, doładowaniu albo przeładowaniu, do Olsztyna, a później do Radomska.

Obecność wagonu w Bydgoszczy potwierdziło 8 plomb znalezionych przez celnika z Łodzi, a wcześniej — rozmowy telefoniczne między stacją PKP Bydgoszcz i PKP Radomsko na temat tego dziwnego wagonu z bliżej nie zidentyfikowaną przesyłką. Bo dopiero w Bydgoszczy znaleziono — ale to ciągle domniemanie — przesyłkę z lekami. Skojarzono ją, że leki mogą być przeznaczone dla składnicy „Cefarmu” w Radomsku. Na skutek telefonicznych rozmów między obu stacjami PKP wagon przesłano wreszcie do Radomska.

Dotarł tam 31. 01. 1981 r. za tzw.

dosyłać nr 9/A/81, który to dosyłać „zawiadamia o wysłaniu przesyłki dla przewoźnika przesyłek bezdokumentowych” (cytat z dokumentu PKP).

I tu skończyła się wreszcie tajemnicza podróż wagonu nr 150 23075, który nie miał właściwych dokumentów, wymaganych przy przewoźniku przesyłek zagranicznych, ani nawet krajowych. Był wagon, było coś w środku, ale dokąd miał jechać, dla kogo, po co — tego nie wiadomo.

Na pytanie: dlaczego stacja PKP w Radomsku czekała od 31. 01. 1981 do 20. 02. 1981 r., aby otworzyć wre-

szcie wagon i sprawdzić, czy przesyłka jest dla „Cefarmu” w Radomsku — usłyszałem odpowiedź pań z ekspedycji stacji:

„To wcale nie był miesiąc, tylko 20 dni, a to jest różnica. A, poza tym, nie można było wydać przesyłki, bo nie wiadomo było, czy jest oclona”. Wysłać więc telegramy do stacji przygranicznych. Odpowiedzi długo nie nadchodziły. Wreszcie 2 marca 1981 przyszedł telegram z Muszyny, w którym, między innymi, stwierdzono, że przesyłka, która w wagonie nr 150 23075 dotarła do Radomska, w Bydgoszczy znajdowała się w wagonie o numerze 148 15604. Wagon z takim numerem przejechał granicę w Muszynie. W jakim czasie — tego Muszyna nie podała. Alści w wagonie nr 148 15604, skierowanym z Sofii do Bydgoszczy Główniej, powinno być 200 kartonów pasty do zębów. I znowu nikt nie wie, co się stało z pastą do zębów, ani skąd się wzięły leki w zupełnie innym wagonie.

BOGDA MADEJ

WAGON NUMER 150 23075

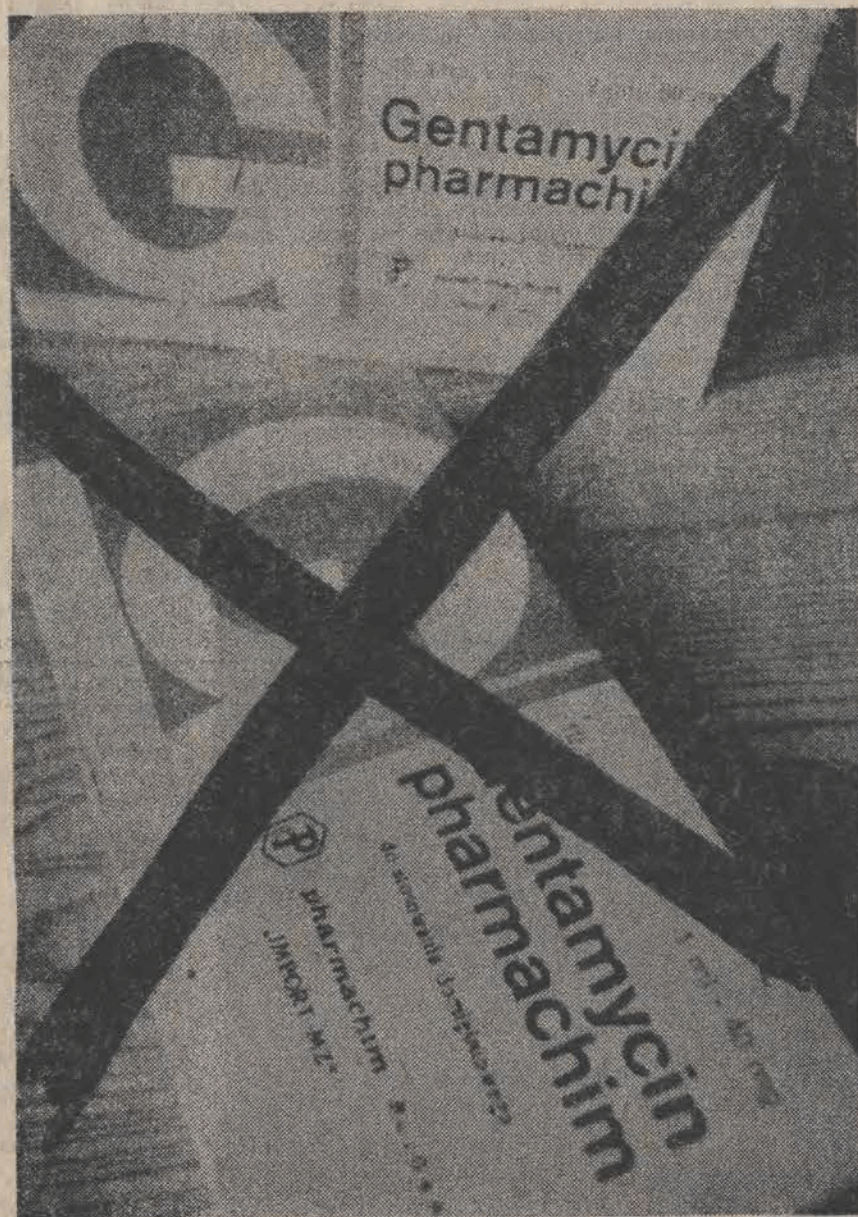


Foto: R. Łucyszyn

Kilka pytań

Cała ta historia wymaga zadania paru pytań. W sytuacji, kiedy ludzie czekają na lekarstwa w kolejkach, albo wręcz ich nie mogą kupić, historia wagonu nr 150 23075 zakrawa na grube przestępstwo. I finansowe i społeczne.

Pytanie pierwsze: Czy takie wędrujące po Polsce przesyłki leków zdarzają się często?

Odpowiada dyrektor składnicy w Radomsku, Zdzisław Olejniczak:

— Na szczęście niezbyt często, ale zdarzało się, że musiałem jeździć po odbiór leków do różnych miejscowości w kraju. Jako ponurą anegdotę podam fakt, że kiedyś musiałem jechać, na przykład, na budowę Huty Katowice, gdzie koparka wygrzebała spod ziemi dwie skrzynki „Oxacylinu”.

Pytanie drugie: Czy wagon z cennymi lekami może stać na boczni, przez nikogo nie pilnowany?

Odpowiada zastępca zawiadowcy stacji PKP Radomsko, Edward Kopański:

— Wszystkie wagony z drobnicą zgłaszamy pod nadzór SOK. Tę wagonu nie zgłosiliśmy, bo nie miał dokumentów. Gdybyśmy wiedzieli, że ładunek jest tak cenny, zgłosilibyśmy go SOK-istom.

Pytanie trzecie: Czy leki, wędrujące tak długo po Polsce, nie straciły swojej użyteczności?

Odpowiada dyrektor Zdzisław Olejniczak:

— Leki przewożone były w wagonie, który do takiej przesyłki zimą się nie nadawał. Lek był w ampulkach. Stwierdziliśmy, że część była zamrożona. Wysłaliśmy leki do badania w Instytucie Leków. Może się bowiem okazać, że Gentamycyn, przewożony w tym wagonie, nie będzie już mógł być stosowany.

Pytanie czwarte i ostatnie: Kto za sprawę wagonu nr 150 23075 będzie odpowiadał?

Głównymi podejrzanymi na razie są: PKP i PSM C. Hartwig. Być może, zwinął również nadawca z Sofii. Być może — nie bez winy jest również CHZ „Ciech” która na tę przesyłkę zawarła przebież kontrakt.

Boże się jednak, że — jak zwykłe w przypadku zbiorowej odpowiedzialności — winny może się nie znaleźć.

I wtedy jedno tylko będzie wiadomo. Na pewno winnych będzie trzech młodych ludzi, którzy w lutym bieżącego roku wzięli się do wagonu, żeby ukraść z niego skrzynki. Niestety, nie było w nich pomarańczy.

PROPOZYCJE I LISTY

Exposé, 10-punktowy pakiet najpilniejszych spraw, apel o 90-dniowy spokój i wreszcie budząca ufność postawa premiera na konferencji prasowej zorganizowanej bezpośrednio po powołeniu go na szefa rządu, to istotne, ale nie najważniejsze wektory, które wpłynęły na

wieść zdecydowała przede wszystkim o wierze w szczerą intencję nowego premiera, bo wieść ta świadczy o czynach, które ma już za sobą.

Zalśniły fakty. Z jednej strony jego postawa, która wpłynęła na kierunek działania państwa, a z drugiej strony żelazna dyscyplina protestujących mas nie dopuściła do eskcesów i rozlewu krwi w roku 1980, a doprowadziły do wytyczenia milowych słupów i drogowskazów dla rozwoju demokracji socjalistycznej, odbudowy moralności, rzetelnego patriotyzmu i uścisnienia gospodarki kraju.

Tymi milowymi słupami i drogowskazami było zawarcie umów społecznych.

Niewątpliwie obecny premier nie był odosobniony na swoim stanowisku w grupie ludzi sprawujących władzę.

W bólu i trudzie usuwane są wynaturzenia socjalizmu, tworzy się nowy model demokracji. Kierownik Wydz. Pras. i Radio i Telewizji KC PZPR Józef Klasa na spotkaniu z dziennikarzami w Łodzi ułożył określenie, iż w działaniu na drodze odnowy doszło do przetrwania klątwy między partią, a społeczeństwem.

Patrząc z pozycji szarego członka społeczeństwa, obserwując jego nastroje i postawy, nie wyliczając z tej obserwacji także szeregów mas partyjnych, można stwierdzić, że między dolami partyjnymi, a społeczeństwem przetrwała została nie tylko klątwa, ale powstała szeroka platforma porozumienia i zgłębienia władzy uczucia wojska do zgłębienia społecznego protestu. To

w trudnych miesiącach lipca i sierpnia 1980 r.

Kłątwa natomiast przetrwała na została znacznie później między zreorganizowanym Biurem Politycznym, a masami partyjnymi i od Biura Politycznego, od jego postawy w dalszym działaniu zależać będzie, czy w przyszłości rozszerzy się ona w pomost porozumienia i współdziałania.

Pojawiają się bowiem symptomy, które budzą niepokój. Daje się słyszeć wypowiedzi niektórych osób, że w Polsce są groźne sily antysocjalistyczne, że stoją na udepiętej ziemi, na której rozgorzała walka kto kogo.

„Gdzie są te sily antysocjalistyczne? Jakies pare osob, a maja takie wielkie znaczenie?” — powtarza M. Wesołowska wypowiedź partyjnych robotników (Polityka nr 6/81), i rzeczywiście — zdrowy rozsądek nakazuje postawić parę pytań:

— Kto z Polaków chce przywrócić prywatną własność fabryk, lub obywatelską własność ziemi?

— Kto z Polaków chce odebrać klasom pracującym osiągnięcia socjalne?

— Kto z Polaków wreszcie chciałby zrywać sojusze międzynarodowe zabezpieczające pokój w świecie, by wyzwalali niemieckie sily reżimistyczne gotzące w nasze zachodnie granice.

— Kto z Polaków chciałby pograć kraj w nieszczęśliwy i kompletny chaos?

Jeśli znajduje się tacy, to naprawdę tak niewielu, że nie mogą być groźni, bo nie znajdują posłuchu w

świadomości i zorganizowanym społeczeństwie, które nawet w ciężkich miesiącach lipca i sierpnia 80 nie dopuściło do najdrobniejszych eskcesów o charakterze rabunkowym, czy anarchistycznym.

Czy istnieje więc potrzeba wołać na alarm, że rozgorzała walka „kto kogo”? Czy trzeba w tym miejscu wystrząchać armaty? Przecież od takiej oceny i takich hasel tylko krok dzieli od „połowania na czarownice”.

Są również głosy, które dzielą naród na „my” i „nasz przeciwnik”. Kto to są ci „nasz przeciwnik” w rozumieniu tych co wprowadzają taki podział?

Z ich wypowiedzi wynika, że przeciwnicy to NSZZ „Solidarność” z jej kierownictwem, to strajkujący studenci, a także wszyscy ci, którzy uczestniczyli w strajkach, a nawet Związek Młodzieży Wileńskiej.

Przy takim kryterium podziału, do przeciwników, prócz wymienionych wyżej, należałoby dodać niemal wszystkie organizacje partyjne najbliższego szeregu, nie mówiąc o bezpartyjnych (...).

Niektóre osoby „u góry” utapają przeciwników w ludzich działaniach w kierunku odnowy, gdyż tkwi w nich lek przed oparciem dążenie do skupiania w swoich rękach pełnię władzy i inicjatywy. A przecież nie pierwszy raz doświadczyliśmy już boleśnie, że kadrowi monopol — także władzy — prowadzi do wypaczeń.

Sprawując swój wysoki urząd premier Jaruzelski będzie miał nie-

wątpliwie duże trudności w wydobyciu kraju z klęski gospodarczej i w przeprowadzaniu demokratyzacji ustroju socjalistycznego, ale są one do pokonania, bowiem w tym działaniu będzie miał sprzymierzeńców w lwiej części narodu polskiego.

Najmniej będzie potrzebował energii do walki z rakocznymi sily antysocjalistycznymi w Polsce, bo takie sily nie mogą wyrosnąć w uświadomionym społeczeństwie.

Antysocjalistycznym będzie miał także i choć niewielkim, to często atozny.

W opinii o osobie nowego premiera padła m.in. następująca wypowiedź partyjnego robotnika: „Tak, to dobry człowiek i ma szczerzy zamiar realizować to, co zapowiedział w Sejmie, ale czy ci liczni ministrowie nie wprowadzą go w maliny?”.

Stosunek są te obawy. Są jeszcze bowiem we władzach partii i rządu ludzie, którzy nie potrafią uwolnić się od atmosfery okłasków, którzy przywykli do gali, do potłomkinowalich gospodarstw rolnych i zakładów produkcyjnych, do rządzenia w formie nakazów i poleceń, do ciepła krytyki, do blurokracji, ludzie, którzy mają wysoke wyobrażenie o swoich umiejętnościach i nieomylności.

Nie należy spodziewać się, że ministrowie, których resorty trzeba likwidować, będą wysilać umysły w kierunku sposobu ich likwidacji — raczej przeciwnie. Podobne trudności wystąpią w tejpieniu blurokracji i likwidowaniu tzw. nomendatury.

Czy nie będą się powtarzały przypadki jak pierwszy z brzegu, że zdjętemu ze stanowiska i sekretarza KW powierza się stanowisko ambasadora?

Naród będzie mógł stawiać czoło trudnościom i wyprowadzić kraj z katastrofy, jeśli skoczy się z podziałem na „my” i „przeciwnik” i jeżeli w jednolitym frontie po jednej stronie niewiedzianej barykady, staną na zasadzie współpartnerstwa i wzajemnej kontroli władze partii politycznych i ich członkowie. Sejm i rząd i związki zawodowe — wspólne ciepłe nadzycie, niesprawiedliwość, przejawy antydemokracji, krępowanie wolności słowa i publikacji oraz biurokracji (...).

Stosunek są ostrzeżenia Lecha Witkowskiego z Instytutu Nauk Społecznych w Toruniu (Polityka nr 6/81) że „w robotniczych, a także w inteligentnych organizacjach partyjnych istnieje świadomość, że następnego zawodu i rozezorowania obywatelskiego i partyjnego. Klasa robotnicza mogłaby już nie znieść, a więc i jej partia mogłaby już nie przetrwać”.

Naród może się wnieść na wyżyny wysiłku i wyrzeczenia, gdy będzie przekonany, że owoce tego wysiłku nie będą zamarnowane przez kunktatorskie i zarozumiałe rządy. Następnego rozezorowania nie znieśli.

ANTONI MIKINA

1662 ul. Narutowicza 99/101 m 21

ODGŁOSY 5

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ALKOHOLODrama

Sobota, 28 lutego. Róg Andrzeja i Lipowej. Niektórzy kręcili się w pobliżu już od rana, ustalając między sobą, kto będzie pierwszy, a kto drugi. Kilka minut po ósmej uformowała się wstępna, nieregularna jeszcze kolejka. O dziewiątej kolejka podłapała fak zwaną głowę w okolicach drzwi i zaczęły się pierwsze kłótnie: — Pan tu nie stał! — Patrzył go, całą rodzinę przyprowadził. — Czego ode mnie chcesz, skurwysynki — mówiło uprzejmym, nad wyraz łagodnym głosem, sześćdziesięcioletnie, wybruszone babsko, którego tusza była jawnym zaprzeczeniem wszelakich kryzysów gospodarczych.

Przed dziesięcią rozległ się chórny wrzask radości: — Przyjechał! — A mówię, żeby tu stanąć, a nie na Hutorę i na Gdańską! — chępli się jakiś pijany z nocy człowieczyna. Kilka mężczyzn podało mu z szacunkiem rękę. Potem rozległ się jeszcze jeden wrzask — zawodu: — Nie ma czyste! Tylko spirytus, i to ten słabszy, w małych flaszkach (tak zwana ćwiartka w ciąży) oraz żyto, również w małych!

— Żyto to teraz nie jest żyto — zauważył z przekąsem jakiś znawca. — Oni to pędzą po prostu na przechodzącym makaronie.

— Tak jest! — przytaknął inny gość. — Na makaronie. I to na tym najgorszym, dwujęzycznym.

— A pan, panie, też jest przecie dwujęzyczny.

— Panie, ale numer! Kawał żem sobie przypomniał. Stuchajcie, chłopcy! Jaka jest różnica między robotnikiem angielskim, amerykańskim i polskim?

— Nie wiemy — poddała się kolejka.

— No więc, robotnik angielski je rano dwa jaja na szynce i leci do pracy. Robotnik amerykański wrzuca w siebie dwa jaja na bekonie i też leci do pracy.

— A polski?

— Polski wrzuca dwa jaja w spodnie i leci na wodę.

W rozdętej i zdenerwowanej głowie kolejki znalazło się nagle dużo kobiet. „Więcej pań niż panów” — zauważył jakiś intelektualista. Tylko w telewizji usłyszeć można wywiad z przedstawicielkami płci odmiennej, które historycznym głosem domagają się podniesienia cen na

alkohol. Dotąd mąż takiej mądrali przepijał połowę, jak podnosił ceny — przepijał wszystko. Bo kto pił, ten będzie pił. Nie przeraził go żadna podwyżka. Sam widział robotników budowlanych, którzy, wobec pustych półek, składali się na najdroższe koniaki, w myśl twierdzenia, że nie ma wody zlej, jest tylko dobra i bardzo dobra. Planowany zamach na alkohol, który przewidziałem już parę miesięcy temu, ale redakcja odrzuciła mój artykuł w tej sprawie, doprowadziła połowę polskich rodzin do ruiny. Kto najbardziej uciurpił? Ano, właśnie kobiety i dzieci. Powtarzam! Jasny, ewidentny fakt, który może potwierdzić sprzedawca każdego sklepu monopolowego, że w obecnej chwili biedota miejska i wiejska wykupuje, z braku wyboru, każdy, najdroższy nawet alkohol, zadaje kłam wszystkim tym, co twierdzą, że podniesienie cen może być głównym orężem w zwalczaniu nalogu. Sytuacja na rynku jest taka, że nalog sam się zwalcza. Zamiast więc podnosić ceny lepiej będzie zmniejszyć import i produkcję. Wtedy ludzie rzeczywiście uwierzą, że państwu chodzi o ich zdrowie, a nie o wydrębowanie kieszeni pod szlachetnym szyldem.

Głowa przed wejściem rosła. Ktoś wrzasnął pół żartem, pół serio:

— Ciężarne i z dziećkami, bez kolejki!

— Ludzie, na chrzciny potrzebuję! — odwrzasnęła histerycznie niewiasta w piątym miesiącu.

— Dzieci chrzci się wodą święconą, a nie wodą — ryknął rozjuszony jegomość. — Trupem tu padnę, jak która kupi bez kolejki!

Tymczasem, przed jedenastą, kiedy drzwi ciągle jeszcze były zamknięte, niby zjawia z najczarowniejszego snu, pojawiła się przed sklepem ciężarówka z tanim winiakiem.

Część ogonka na ten widok dosłownie omalała z rozkoszy, reszta wyraziła oburzenie:

— Teraz zaczęła to wszystko wnosić, rachować, a ty stój, człowieku i marznij! — jęknął jakiś utrudzony, spieszący się najwyraźniej do pracy człek w roboczym kombiniezonie.

— Wstydziłby się pan nawet tak mówić! — osadził go osobnik z tęczką, odznaczający się najwyraźniej dużym poczuciem sprawiedliwości. — Nie każdego, jak pana, stać na coś mocniejszego.

— Wino owocowe podobnie mają wycofać z obiegu. Uplynniają remanenty.

— I słusznie! — zauważył pan o inteligentnym wejrzeniu. — Jest to horrendalne świństwo.

— Ale za to mocne i słodkie. A za inne płaci pan dwie setki i taki kwas w gębie, że aż skręca.

Ta ostatnia uwaga uzmysławia mi fakt, że obecnie biedota pija również najdroższe wina: bułgarskie, portugalskie i hiszpańskie. „Velasquez” — 270 zł butelka, odbił przy mnie facel w parku Poniałowskiego, tuż obok rozbabranego pomnika, o którym pisałem, nie otrzymując żadnej odpowiedzi na krytykę. Ogromny pomnik w Gdańsku budowali miesiąc, małego pomnika w Łodzi, też w końcu miejsca spoczynku bohaterów, nie umieli nawet popuścić do końca przez pół roku.

Drzwi sklepu otwarto się nagle i w „głowie” zawrzało. Seria pojedynczych, śmiertelnych zdawać by się mogło, wrzasków, obwieściła koniec uwertury. Tłum parł do wejścia, kobiety ramię w ramię z mężczyznami. Zwiad, który na moment opuścił swoje miejsce w ogonku, wrócił z wiadomością, że ruchem przy drzwiach kieruje milicjant. Taki drogowiec w białej czapce, majorówce.

— Pewnie sam chce kupić bez kolejki.

— Nie, ludzie naprawdę kieruje!

— Chwalić Boga!

— Komendanta mądrego trza chwalić, że mu zlecił tę robotę.

Wyszamotałem się z tłumu, żeby na własne oczy zobaczyć ten rozsądny precedens. Istotnie — był drogowiec, wysoki, przystojny, walczył bohatersko z atakującą go „głową”, z nawalnicą rozpychającą i bijącą się ludzi. Przywodziło to na myśl bestie, które poczuły zapach krwi.

Wpuszczano po osiem, dziesięć osób. Ale kolejka nie posunęła się nawet o centymetr. Wciąż ta głowa, ten walczący, kasający łeb.

Ci, co już kupili, ustawili się od razu na końcu kolejki. Może uda się powtórzyć sukces. Jak któregoś poznali, to w morze. Hiobowa wieść krążyła wśród pijaków. Sprzedają tylko po dwie butelki. Kto przyszedł z rodziną: z synem, wnukiem i prawnukiem, wyszedł jakoś na swoje. Ale samotny człowiek nie ma szans. Co to są takie dwa szczeniaki na głowę? Bul, bul, bul! — dno! A tu wesele, chrzciny, imieniny, stypa! Życie krótkie, a pić się chce...

Pijak, który wstał zapewne przed chwilą z rynsztoka, wmontował sobie w kłape odznakę „Solidarności”. Nie pomogło. Kolejka przegnała go na koniec. Odrzucił się Waleśa, bluznił i wymachiwał rękami. Ktoś powiedział:

— Ojciec, przecież „Solidarność” nie pije!

Mężczyźni wymieniali się uwagami, jaki to smutny i pusty dzień mieli wczoraj. Niektórzy stali w ogonku od szóstej rano do szóstej wieczorem, a wody nie przywieźli. Któryś tam, we wtorek czy środę, doszedł do lady w momencie, kiedy stojąca przed nim krowa (tak się właśnie wyraził) kupiła dwie ostatnie butelki.

— Kobieta, to jest, panie, takie coś, co nie powinno pić wódki.

— Może dla chorego męża brała?

— Jakżeś dla męża! A cuchnęło od niej, jak z browaru.

— Ja to mam, panie kolego, taką sąsiadkę, co sama ciągnie jak elektroluks, a staremu przygania: Idziesz ty, ochlapusie jeden!

Dziewięćdziesięcioletnia staruszka usiłowała wmiksować się w ogonek. Była poza wszelką perswazją i represją. Jak tu podnieść na taką rękę?

— Później sprzedajesz, babciu, po trzy stowy butelka.

— Ano, sprzedaje, synuś, sprzedaje. Z czegoś przecież trzeba żyć.

— Jak podniosą ceny, będziesz żyła jeszcze lepiej.

— Obyś miał rację, kochaneczku.

Oczywiście, że z alkoholizmem należy walczyć. Ale nie drogą podwyżki. Myślę, że nie jest wcale złym pomysłem wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu w określone dni, aczkolwiek stwarza to szansę meliniarzom i pokątnym sprzedawcom, choćby tym z ulicy Wiośnienniczej. Myślę również, że dobrym pomysłem było ograniczenie punktów sprzedaży alkoholu, wyłączenie go z niektórych sklepów i restauracji. A marża w knajpach? Co będzie, jak ją zniosą? Zgadza się z programem rządowym. Zgadza się z pewnym moim znajomym, że zlikwiduje to problem ulicznych budek i piwem, wpłynię krzepiąco na rozwój życia towarzyskiego, zaludni się lokale.

Wielką rolę w zwalczaniu alkoholizmu mogłyby także odegrać zakłady pracy. Są zawody, których uprawianie wyklucza całkowicie jakikolwiek alkohol. Nie do pomyslenia jest na przykład pijany górnik (nie pozwól mu, po prostu, zjechać na dół), lotnik, czy kierowca. Ale jest również cały szereg zawodów, którym alkohol pozornie „nie szkodzi”. Można bezkarnie zachlać się w biurze, można w farbyce, można w klubie sportowym, jeśli oczywiście jest się nie zawodnikiem tylko działaczem. Otóż, proponuję, aby nie dopuszczać do żadnej pracy człowieka, który napił się alkoholu — zamknąć, po prostu, przed takim drzwiami, nieobecność nieusprawiedliwiona! Tu uderzyć go po kieszeni. Zaboli.

Kolejka powiększyła się o grono studentów. Strajk zakończony, pora coś wypić.

— Był taki rozsądny gość na medycynie, co po każdym egzaminie mówił słuchaczowi: — Teraz, bracie, leć do knajpy i strzel parę głębszych. Rozładuje to twoje stresy.

— Wczoraj musieliśmy z Tadektem kupić „Starke” po 360 zł, butelka. Złożyliśmy się po 180 i wyszło.

— W strajku nie piłeś?

— Nie, ale się kochałem.

— Z Magdą?

— Of course!

— Filologia, bracie, wypadła rewelacyjnie. Całą sprawę załatwiła, tak?

— Czytałeś ten reportaż w „Odgłosach”?

— Tomka?

— Aha!

— Znam go osobiście.

Kolejka dostała gazu. Milicjant w białej czapce, który, ku kompletnemu zdziwieniu widzów, pełnił swoją funkcję społecznie i uczciwie, zahaczał mnie w drzwiach, jako że byłem już jedenasty.

— Nie pchajcie się, obywatelu — powiedział.

Ja rozumiem, że w każdym zawodzie może trafić się idiota, ale głupota niektórych dziennikarzy telewizyjnych i radiowych doprowadza mnie do łez. Ten cudowny, zgodny i skwapliwy chór za podwyżką. Głos zabrali także specjaliści. Z tym, że nie mówili, jak dotąd, o zgubnych skutkach palenia i picia, o spustoszeniach moralnych, spowodowanych przez te diabelskie używki, o akcjach odwykowych i profilaktycznych, godnych skądinąd najwyższej uwagi. Szlachetne pogadanki i perswazje dobre są w chwili, kiedy nie się nie dzieje — wierzy się wówczas w zasadność utrzymywanych przychodni przeciwalkoholowych, w dobrą wolę zbłąkaną owieczki, w tabletki, zastrzyki, domy bez klamek i kaftany bezpieczeństwa, stanowiące niejako drugi stopień terapii.

W momencie jednak, kiedy przypili sytuacja, ci sami jawni, wykształceni panowie sięgają po armaty.

Woda drożej!

Głupota jakos robi się człowiekowi. To coś takiego, jakby ojciec zaprzestał nagle dyskusji z dzieckiem i zaczął walić. To coś takiego, jakby Makarenko zwałpił nagle w siłę sugestii. Bo, doprawdy, nie trzeba kończyć Akademii Medycznej, ani uniwersytetu, aby próbować uwinąć społeczeństwo od nalogu metodą kolejnej drakońskiej podwyżki. Na taki sam pomysł wpadli osobnicy zajmujący się handlem i budżetem. Czyżby naukowcy byli tylko po to, aby wspierać swoim autorytetem knowania handlu? Aby wytworzyć wokół sprawy odpowiednią ideologię? Aby usprawiedliwić to, co jest niesprawiedliwe? Aby wrzeszczeć obłudnie: my, ze swej strony, robimy, doprawdy, wszystko, przekonujemy, leczymy, zamykamy, ale... przy tak niskich cenach alkoholu trudno oczekiwać, żeby nasze pełne znoju wysiłki przyniosły jakiś radykalny skutek. Pomóżcie nam czym prędzej! Zróbcie podwyżkę!

Alkohol nie jest wcale u nas taki tani, jak wydaje się szlachetnym naukowcom. Oczywiście, przybyszowi z Zachodu, który kupuje sobie za dolara pół litra żytniej w „Pewexie”, wydaje się, że jest za darmo, ale równie (jeśli nie bardziej) tanie wydają mu się noclegi, artykuły żywnościowe i taksówki.

W ten temat, jak wiemy, lepiej się nie zapędzać. Powiem więc tylko jedno, jako człowiek, który śledził ceny alkoholu w kilkudziesięciu krajach świata: relatywnie rzecz biorąc, w stosunku do zarobków, alkohol w Polsce jest nie tylko drogi, ale jest SZALENIE DROGI: dwie butelki francuskiego koniaku, to pół pensji. Wody, oczywiście, kupisz dużo więcej, ale... powiedzmy, że zarabiasz pięć tysięcy złotych, nie za to kupisz butelek żytniej?

Jak już przerachujesz, to nie mów o tym przypadkiem gościom zagranicznym, bo spojrzą na ciebie jak na ostatniego nędzarza.

Nie jesteś, oczywiście, nędzarzem. To tylko alkohol jest drogi. Jest drogi, bo jedni robią na tym znakomity interes, a inni się zdaje, że odzwyczajają w ten sposób naród od picia. Kto musiał okradać tylko rodzinę, odtąd zaczyna okradać zakład pracy, jeśli dotychczas okradał tylko zakład pracy, odtąd zaczyna wlać się do sklepów, a kiedy i to nie wystarczy — kropnie kogoś w łeb.

Ludzie, puknijcie się w czoło!

Ja rozumiem, że na całym świecie rosną sukcesywnie ceny alkoholu. Nie zdziwi się także, jeśli wzrosną u nas — nie o pięćdziesiąt, czy dwadzieścia procent, ale dziesięć, czy pięć — wystarczy! I nie zasłaniajmy się przy tej podwyżce autorytetem pseudonaukowców, którzy też po walnym zebraniu biegna do knajpy na kielicha, śmiejąc się z frajerów i trzymając, mówiąc słowami Witkacego, kumetę u pyska. Powiedzmy to wprost i uczciwie, wówczas każdy myślący człowiek przyjmie chłostę w milczeniu.

OD REDAKCJI: Trudno nam podzielić opinie autora dotyczące ewentualnej podwyżki cen na alkohol. Każdy skuteczny sposób walki z pijanstwem wydaje się mieć rację bytu i spotka się ze zrozumieniem społeczeństwa. Niemniej w serii artykułów publicystycznych o alkoholizmie, jakie planujemy, zakładamy możliwość istnienia sprzecznych opinii.



Foto: R. Łuczyszyn

Ludzie pracowici i pod każdym kątem niekazitelną, okazują się w pewnej chwili hochsztapierami.

Kiedy zaczyna się ten proces?

Kiedy rodzi się poczucie bezkarności i wiara w siłę koneksji?

Kiedy uzyskuje się wiarę w siłę klik?

Oto dyrektorzy Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Bumar” w Warszawie — firmy równie ważnej jak „Minex” dyrektora Tyrańskiego, utrzymującej stosunki handlowe przede wszystkim z krajami KK.

Oto dyrektorzy Spółdzielni Kółek Rolniczych w Suszu, leżącym w województwie elbląskim, a więc na północy kraju. Oto dyrektor Spółdzielni Transportu Wiejskiego — z tego samego miasteczka.

Szastali na lewo i prawo przydziałami maszyn, państwowymi i społecznymu pieniędźmi, samochodami, domkami letniskowymi.

Rządząca zasada, pilnujemy swoich własnych osobistych interesów. SKR miał pilnować by budowa domków w województwie skierniewickim dla dyrektorów „Bumaru” przebiegała zgodnie z planem, a nie wypełniać usługowej luki w rolnictwie między sektorem państwowym i prywatnym. „Bumar” miał baczyć na to, by najbliższa koparka trafiła do Suszu, a zaniedbywać realizację przydziału tych maszyn zgodnie z grafikami ustalonym przez Komisję Planowania.

Dyrektor SKR — Krajewski jest nawet z tego dumny: — najbardziej byłem jednak zadowolony z przydziału maszyn, których z pewnością nie uzyskałbym dla SKR, gdyby nie pomoc moich zleceniodawców. Nawet zwrócono się do mnie z WZKR z prośbą, czy nie mam wpływu na przydział tego typu maszyn dla województwa elbląskiego. Jest to bardzo deficytowy towar, gdyż takich koparek każdego roku rodziła się po kilka sztuk na kraj.

Kiedy prokuratura rejonowa w Kwidzynie wszczęła dochodzenie — dyrektorzy w Warszawie poczuli się zagrożeni. Poczuli, że wokół nich robi się gorąco, kiedy równolegle dochodzenie wszczęła komisja kontroli partyjnej. „Nie wyrobili”, gdy dowiedzieli się, że o nich zacznie pisać prasa.

„Kiedy rodzi się poczucie bezkarności i wiara w siłę koneksji” — to pytanie postawiłem sobie półtora roku temu. Siedziałem w pokoju przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej w Elblągu. Nie zapomnę nigdy tej chwili. Rozmawialiśmy akurat o działalności komisji, także o „sprawie „Bumaru”. Nagle do pokoju wszedł mężczyzna, nie zważający na oburzenie sekretarki. Dyskusja w mojej obecności była krótka. Przynajmniej „gość” tak chciał ją widzieć. Przedstawił się jako dyrektor „Bumaru”, a następnie bez ogródek wskazał na wysoką niestosowność prowadzenia dochodzenia przez komisję, jak i ujawnienia dokumentów dziennikarzowi. (nie wiedząc oczywiście, że dziennikarz siedzi w tym samym pokoju).

W tamtym czasie bowiem komisja zajmowała się „kontaktami” dyrektorów „Bumaru” z dyrektorem Spółdzielni Transportu Wiejskiego w Suszu. Komisja ustaliła:

„Od lipca do listopada 1978 r. przeprowadzono kontrolę, której przedmiotem była prawidłowość realizacji i finansowania inwestycji budowlano-montażowych, prawidłowość likwidacji przyczep ciągnikowych i samochodowych oraz inne wybrane zagadnienia dotyczące działalności STW w roku 1977 i w I półroczu 1978”.

Dyrektorem STW był Marian Roszak. Według niego dyrektor kombinatu „Bumar” — Bolesław Kawalec uzależnił sprzedaż koparek od umożliwienia jemu i pracownikom zakupu, obróbki i dostarczenia drewna modrzewiowego do budowanych domków rekreacyjnych pod Warszawą.

Roszak — pisają w dokumentach — zakupił w październiku 1977 r. na swoje nazwisko w Nadleśnictwie Susz 0,62 m sześć, duży tartacznej sosnowej wartości 11 994,60 zł, którą przekazał do tartaku w Suszu celem przetarcia. Należność w wysokości 2 116,40 zł zapłaciła Spółdzielnia Transportu Wiejskiego w Suszu. W Zakładach Drzewnych w Suszu zamieniono na zlecenie spółdzielni duży tartaczny sosnowy na duży tartaczny modrzewiowy. Należnością w wysokości 11 944,60 zł obciążono STW. Następnie Roszak wydał pisemne zlecenie na dalszą obróbkę tartacy do Zakładu Remontowo-Budowlanego POHZ w Suszu na koszt STW. Koszt tej obróbki wyniósł 21 443 zł. Po dokonaniu obróbki spółdzielnia zleciła w Zakładach Im. Wielkiego Proletariatu w Elblągu o/w Suszu wysuszenie ok. 8 m sześć, drewna modrzewiowego, a w zamian za tę usługę wykonano w spółdzielni remont samochodu marki „Zuk” o wartości 19 tys. zł.

W listopadzie 1978 r. STW zakupiła w Zakładach Drzewnych w Lidzbarku Warmińskim parkiet dębowy (mozaika) za 40 tys. zł, które wraz z modrzewiem wywieziono do ob. Kazimierza Winklera mieszkającego w Warszawie, będącego zastępcą dyrektora kombinatu „Bumar”.

Wszystkimi kosztami obciążono STW. Na prośbę ob. Winklera STW urlopowała bezpłatnie 3 pracowników, którzy pracowali przy budowie prywatnego domu ob. Winklera. Pracowników przewożono oczywiście na koszt STW.

Do wiadomości komisji partyjnej Roszak powiedział, że „działal w dobrej wierze”.

Zaufano mu, jak pokazał czas. W krótki czas po tym ob. Roszak został przeniesiony do województwa olsztyńskiego, bliżej — do Lidzbarka Warmińskiego na dyrektora... STW.

Także poznanego w komisji dyrektora „Bumaru” nie zobaczyłem... W areście śledczym, ani w rozprawie sądowej.

Znałem dość długo w tym czasie przewodniczącego WKPP i w jego ucciwości jak i w oddanie sprawom partii nie mogłem ani chwili wątpić. Jednocześnie wiedziałem, że był bezsilny. Oto obok niego wyrastała siła koneksji, przerastająca wielokrotnie mocą jego duchowe poczucie sprawiedliwości i kompetencje. Stawał się bezradny. Warszawa, a gdzie tam Elbląg, dla którego stolica była nieosiągalna.

Profesor dr Krystyna Daszkiewicz z Instytutu Prawa Karnego, wybitny znawca zjawisk z zakresu patologii społecznej, autorka m. in. „Klimatów bezprawia” i „Traktatu o złej robocie”, napisała niedawno w „Argumentach”, że zjawiska powstawania i umacniania się klik można przyrównać do procesu zrastania się szczyrów ogonami — tak, że nawet ich krwioobieg staje się wspólny. Przytacza przykład:

zrastania się ogonami kilkunastu albo kilkunastu szczyrów, które już nie mogą oderwać się od siebie musiały tak żyć w tym szczyrzym królestwie. Zrośnięcie było tak trwałe, że obieg krwi stawał się wspólny. Od jednego szczyrzego ogona do drugiego. Zadałem pytanie sobie: skąd taka wstrętna analogia do klik? Odpowiedź znalazłem dalej. Profesor przytoczyła bowiem starą bajkę La Fontaine’a „chciejcie przyznać sami, czy tak nie dzieje się wszędzie, nie tylko między szczyrami”.

W tym samym czasie Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej w Gdańsku przeprowadzał kontrolę — na zlecenie prokuratury wojewódzkiej w Elblągu — innych jednostek gospodarki społecznej w Suszu w zakresie świadczenia usług. Inspektor zarządu zainteresował fakt świadczenia usług przez miejscowy SKR na terenie odległym około 300 km od Susza, podczas gdy na terenie działania jednostki jest wiele czekających na niezwłoczne wykonanie prac, szczególnie rolniczych.

Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Suszu — świadcząc m. in. usługi remontowo-budowlane

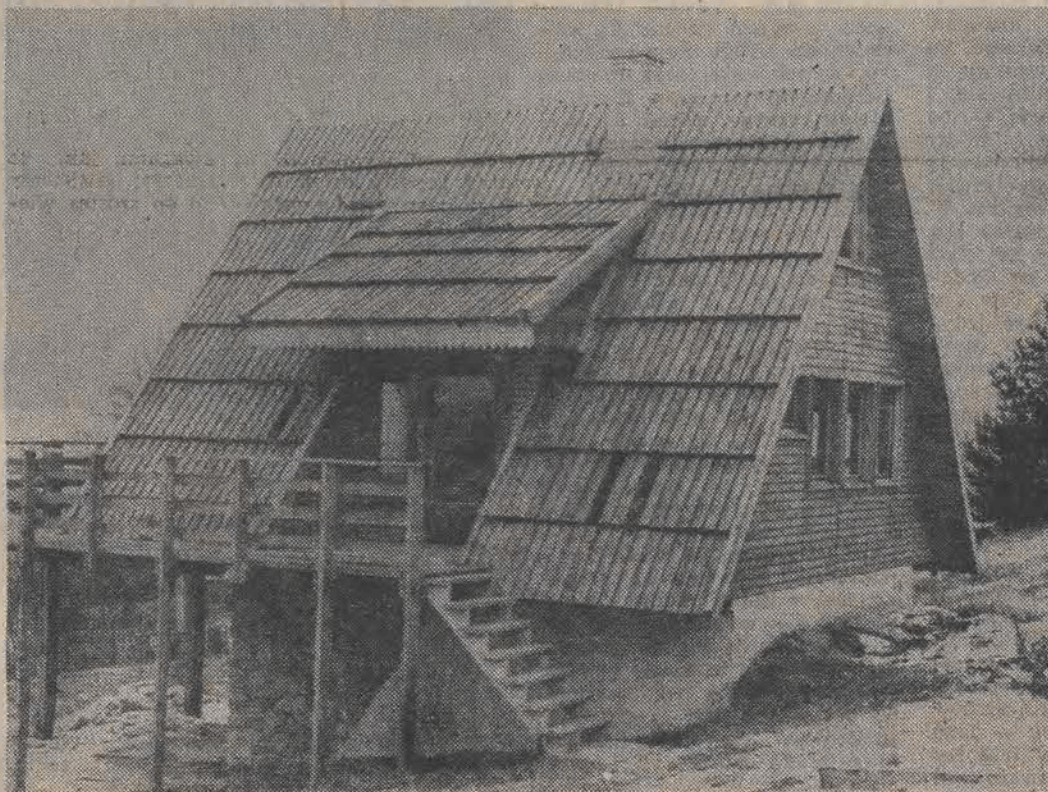


Foto: K. Centkowski

— od lat próbowała uzyskać przydział deficytowych maszyn budowlanych, m. in. koparki wysokiego podnoszenia „Rak-2”, koparki „Waryńskiego k-408”, dźwigu samochodowego marki „Star 28”. Wszelkie próby służbową, potem określną drogą spełzały na niczym.

Od pewnego czasu dyrektora SKR — Jana Krajewskiego odwiedzał Kazimierz Laskowski, budujący zazwyczaj ogrodzenia dla właścicieli budowanych domków, z pasją namawiający — wiedząc jednocześnie o deficycie SKR w usługach dla ludności — do rozszerzenia działalności spółdzielni, do budowy domków letniskowych. Krajewski odmawiał, ale i zwierzał się ze swoich kłopotów. Któregoś dnia Kazimierz Laskowski wpadł i powiedział, że ma brata — Franciszka, mieszkającego stale w Warszawie i będącego „figurą” w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego „Bumar”. — Cóż to za figura? — zapytał Krajewski. „Brat jest rzeczownikiem w Biurze ds. Eksportu Wyrobów Gotowych i Części Zamiennej do Krajów Kapitalistycznych” — podszepnął pan Kazimierz.

Istotnie, do Susza wkrótce przyjechał brat. Potem przyjechali: Bolesław Kawalec, zastępca dyrektora Biura Eksportu do Krajów Kapitalistycznych, zarazem I sekretarz POP w przedsiębiorstwie; Tadeusz Grzybowski — prezes jednej z warszawskich spółdzielni mieszkaniowych, Wojciech Konecki — dyrektor biura w „Bumarze” oraz Roman Tomaszewski — pułkownik Wojska Polskiego.

Rozmowa przebiegała w „szczerzej i konstruktywnej atmosferze”: „SKR podejmuje się bu-

dowy 8 domków typu willowego, których koszt miał być ustalony po ich realizacji... i dostawie potrzebnego dla SKR sprzętu budowlanego”.

— Z racji zajmowanego stanowiska służbowego w „Bumarze” — opowiada Franciszek Laskowski, — nie miałem żadnych możliwości wpływu na decyzje dyrektora, która zajmowała się rozdziałem maszyn dla jednostek gospodarki społecznej. Nie żądałem również od dyrektora SKR obniżenia kosztów budowy mojego domku wbrew obowiązującym przepisom w budownictwie.

Rozmowę z dyrektorami SKR zaczęliśmy od przedstawienia dokumentacji technicznej wraz z rysunkami zastępczymi. Była ona opracowana przez Nauczycielską Spółdzielnię Mieszkaniową w Warszawie, gdzie dyrektorem był Tadeusz Grzybowski. W czasie rozmowy na temat tych maszyn nie poruszaliśmy innych spraw, a więc nie było także mowy o maszynach budowlanych dla SKR. Ani Krajewski, ani Traczewski — jego zastępca — nie stawiali warunków udzielenia pomocy w uzyskaniu takich maszyn w zamian za podjęcie się realizacji budowy domków...

POLSKA WILLOWA

WACŁAW OPACKI

wywiążemy się z ustaleń z Kawalcem, to otrzymam koparkę. Dużo wcześniej Kawalec powiedział mi, że jak nie obniży kosztów budowy to nie będę miał koparki. Przed wyjazdem do Koneckiego, rozmawiałem z Laskowskim, który przypomniał mi, że myślimy mieli obniżyć koszty budowy nie według KCK, ale po koszcie własnym, czyli dużo niższe od obowiązujących cenników.

Dużo wcześniej podejmując się realizacji budowy domków letniskowych planowałem rozliczyć koszt budowy tych domków zgodnie z obowiązującymi cennikami w budownictwie, lecz na skutek szantażu zastosowanego przez Kawalcę, a później przez Laskowskiego — ustaliłem, że rozliczymy koszt budowy tych domków po koszcie własnym spółdzielni z naliczeniem zysku 5 procent.

Prokurator ustalił: niebawem SKR otrzymała wózek widłowy typu „Rak”, dźwig samochodowy... W rewanżu SKR ustalił koszty budowy domków po myśli dyrektorów „Bumaru”...

Prokurator postawił w stan oskarżenia cztery osoby: Krajewskiego, Traczewskiego, Koneckiego i Laskowskiego. Na liście zabrakło Kawalca, który w międzyczasie zmarł.

Krajewskiego oskarżył o to, że „będąc z tytułu zajmowanego stanowiska odpowiedzialnym za ochronę i nadzór nad mieniem społecznym wbrew obowiązującym cennikom, polecił swemu zastępcy obniżyć wartość kosztorysu robót budowlanych wykonywanych przez spółdzielnię przy realizacji budowy domków letniskowych (...) i tym samym doprowadzając do uszczuplenia majątku spółdzielni o kwotę co najmniej 283 875 zł”.

Koneckiego oskarżył o to, że „powołując się na wpływ w zakresie maszyn budowlanych rozdzielanych centralnie podjął się pośrednictwa w załatwieniu dla SKR takich przydziałów w zamian za wykonanie przez tę spółdzielnię robót budowlanych przy wznowieniu jego domu letniskowego oraz zaniżenie wartości tych robót.

Mówi Jerzy Grzywacz, obecnie zatrudniony w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego Przemysłu Motoryzacyjnego „Polmot”.

— Stanowisko dyrektora PHZ „Bumar” objąłem w styczniu 1977 i pełniłem do 29 II 1980 r. Przedtem pracowałem w Komitecie Warszawskim na st. sekretarza ekonomicznego... Do zakresu moich obowiązków w „Bumarze” należała koordynacja dostaw masy towarowej i bilansowanie masy towarowej w układzie produkcji — dostawy na eksport z podziałem na I i II obszar płatniczy i dostawy dla odbiorców krajowych.

Przez przydział maszyn rozumiem realizację decyzji — w ramach rozdzielnika Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — jednostek nadrzędnych tzn. Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Budowlanych oraz Ministerstwo Przemysłu Maszynowego, jak również realizację decyzji rządowych określających poza rozdzielnikiem priorytety dostaw dla inwestycji szczególnie ważnych dla gospodarki narodowej, np. kompleksu rolno-spożywczego. Decyzje indywidualne występowały w sposób incydentalny, tzn. zdarzały się przypadki pozytywnego załatwienia wniosków zainteresowanych odbiorców z reguły popartych opiniami jednostek nadrzędnych lub instancji partyjnych i tylko wówczas, gdy dana maszyna nie wchodziła do puli eksportu do II obszaru płatniczego lub nie mogła być w najbliższym czasie wyeksportowana zgodnie z planem do I obszaru płatniczego, a także gdy taką decyzją nie złamano zasad podziału wynikającego z rozdzielnika Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Przykładem jest jednostka mająca w danym okresie czasu produkcję wyższą od planu, a jednocześnie brak jest zainteresowania odbiorcy, pomimo przydziału, podjęciem danej maszyny lub brak jest dyspozycji wysyłkowych w ramach poszczególnych resortów. W tej sytuacji bowiem nie sposób jest czekać na resortowe rozdzielniki, kiedy maszyny są już wyprodukowane i muszą być sprzedane oraz zaliczone do planu sprzedaży producenta.

Byłem kilkakrotnie indagowany przez I sekretarza POP „Bumar” — Bolesława Kawalcę. Zwracał się on do mnie wielokrotnie w sprawach przydziału maszyn — jako I sekretarz POP — także dla innych jednostek gospodarki społecznej, stąd rozmowa jego ze mną w sprawie SKR Susz nie wzbudziła u mnie szczególnych podejrzeń. Zgodnie z wcześniejszymi podanymi przeze mnie zasadami, nie wszystkie interwencyjne sprawy kierowane przez Kawalcę załatwiałem pozytywnie, a przeciwnie — tylko nieliczne. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że w sprawie Susza Kawalec w sposób szczególny interesował się dostawą maszyn dla SKR, z jednej strony podał oficjalną deklarację do działu realizującego, a ponadto nieoficjalnie na narożniku dokumentu, który wypłynął z WZKR w Elblągu zaznaczyłem, iż pozytywną decyzję wydaje na polecenie I sekretarza POP. Znając system interwencyjny biegający po tzw. linii partyjnej, byłem i jestem przekonany, że działałem w dobrej wierze przydzielając daną maszynę na interwencję — jak mnie poinformował Kawalec — instancji partyjnej Elbląga. Znałem mi były decyzje kierownictwa partii i rządu z roku 1977 nadające priorytet w dostawie sprzętu sektorowi rolnictwa i gospodarki żywnościowej...

Z wystąpienia naczelnika postępowania karnego prokuratury wojewódzkiej w Elblągu — Wiesława Zaczka skierowanego do dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Budowlanych „Bumar”:

„Aktualnie Wojciech Konecki i Franciszek Laskowski zajmują stanowiska w jednostce handlu zagranicznego i z tej racji utrzymują kontakty z różnymi kontrahentami za granicą. Pełnienie takich funkcji wymaga dużego zaufania społecznego oraz posiadania szerokiego zalet moralnych — a także bezpowrotnie zostały utracone przez wyżej wymienione osoby.

W związku z powyższym wnoszę o rozważenie celowości dalszego zatrudnienia W. Koneckiego i F. Laskowskiego na stanowiskach związanych z prowadzeniem transakcji handlowych z kontrahentami zagranicznymi...”

Pismo jak na razie pozostało bez odpowiedzi.

PS. Proces trwa.

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie można tej twórczości zaklasyfikować jednoznacznie, ale można — a nawet trzeba — wyznaczyć trzy perspektywy tematyczne. Pierwsza, najważniejsza i najbardziej konsekwentnie realizowana, dotyczy spraw kampanii wrześniowej oraz lat drugiej wojny światowej. Wyznaczają ją takie utwory, jak powieść „Polska jesień” (1955, pisana w latach 1940–1949), zbiory opowiadań: „Buty” (1956), „Tombakowy pierścionek i inne opowiadania” (1957, wspólnie z B. Mańkowskim), „Dzień bohatera” (1959), „Motyl” (1962), „Opowiadania dawne i dzisiejsze” (1973). Perspektywa druga ma charakter historyczny i określa ją przede wszystkim powieściowy dwuksiążkowy cykl niedokończony: „Antoni Berezowski” (1968) i „Wyspa” (1968). I wreszcie trzecia perspektywa obejmuje twórczość eseistyczną i reportażową. Eseistyczna w najszerszym słowa rozumieniu, bo często jest wręcz niemożliwe w przypadku Jana Józefa Szczepańskiego odłączyć eseistykę od literatury pięknej. Tu między innymi wymienić trzeba: „Do raju i z powrotem” (1964), „Czarne i białe” (1965), „Świat wielu czasów” (1969), „Koniec westernu” (1971), „Rafa” (1974), „Przed nieznanym trybunałem” (1975), „Kipu” (1978), „Autograf” (1979).

Przynajmniej, że podział na siła rzeczy uproszczony i nie uwzględniający całego dorobku. Wykraczają poza niego dwie powieści, których pominąć nie sposób: „Portki Odysa” (1954) i „Pojedynek” (1957). Pierwsza przedstawia losy polskiego górala, który przewodził kawałowi świata, by zdobyć o nim surową i głęboką mądrość. Druga jest groteskową przypowieścią o mechanizmach władzy pokazanych w realiach latynoamerykańskich na przykładzie fikcyjnego państewka.

— „Jest to pisarstwo proste, nie jest to jednak pisarstwo łatwe” — tak określił twórczość Jana Józefa Szczepańskiego jeden z jego kolegów po piórze. Miał na myśli nie tylko prostotę środków wyrazu i umiejętności trafiania do czytelników przy całym skomplikowaniu problematyki, niełatwej w tym sensie, w jakim niełatwa jest nasza jaźń.

Tytuł tego szkicu zapożyczym z „Listu do Juliana Strykowski”, kończącego tom „Przed nieznanym trybunałem”. Taki właśnie tytuł — „Misja niemożliwa” — nosił pewien oglądany przed laty przez Szczepańskiego amerykański serial telewizyjny. Przed jego bohaterem piętrzyły się rozmaite niebezpieczeństwa i trudności, zdawało się, że nie do pokonania. Lecz on, dzięki możliwym tylko na ekranie przyrękom, przewycięzał wszystko. Misja jego okazywała się w końcu wykonana.

A misja pisarza? Owo pokonywanie granic wyznaczonych możliwościami naszych pięciu zmysłów. Pokonywanie labiryntu życia. Poszukiwanie coraz to innych przejawów świadomości i utwierdzanie ludzkiej godności. Dla Jana Józefa Szczepańskiego, duchowego — jak sam się określił — potomka Josepha Conrada, funkcja literatury polega na tym samym, co dla autora „Lorda Jim’a” — na wymierzaniu sprawiedliwości, widzialnemu światu. Niby sprawa prosta. Poznać, osądzić, wydać wyrok. Pozostaje tylko drobiazg: w myśli jakiego kodeksu, wedle jakiej miary? I czy naprawdę pisarz może, jak każdy prawdziwy czy domniemany sędzia, stać z boku, lub mówiąc precyzyjniej — na zewnątrz sprawy, którą się zajmuje? I jaką sprawiedliwość mierzy jego waga? To są podstawowe trudności, przed jakimi stoi bohater „pisarskiego serialu” Jana Józefa Szczepańskiego. I — dodajmy — każdego innego autora, któremu nie obca jest postawa moralistyczno-antropologiczna, intuicyjnego poszukiwacza wartości uniwersalnych.

Bohater amerykańskiego serialu telewizyjnego dzięki genialnemu sprytowi i imponującej odwadze zwycięsko wychodzi z każdej próby. Bohaterowie „serialu” Szczepańskiego nie pójdą w jego ślady. Stałby się po prostu uzurpatorami, gdyby niezawodnie rozstrzygali w imię prawdy i fałszu. Nie mogą jednak wyzbyć się niepokoju. Nie mieszczą się w trywialnym praktycyzmie, potrze-

buja „uzasadnień głębszych i trwalszych niż doraźny użytek”. Ich świat nie może funkcjonować „stać — dotąd”, musi posiadać jakiś sens. Tym sensem okazuje się poszukiwanie moralnego ładu. I na-

demistyfikuje w imię tak zwanej prawdy wewnętrznej. Oto przypominając zachowanie bohatera opowiadań Tadeusza Borańskiego reakcja jednego z bohaterów „Butów”, w której pobrzmiewa zdziwienie, że moż-

tyfikował zwołki największego mordercy wszechczasów. Efekt rzeczywiście godny najtrwalszej pamięci.

Jakkolwiek by zresztą na sprawę nie patrzeć — niezależnie od sposobów jej emocjonal-

nej, dojdzie ostatecznie do stanu, w którym wyrównają się zasługi i nagrody, winy i kary, w którym zło będzie pomśczone, a dobro znajdzie swoją zapłatę, w którym spełniony zostanie wszelki rachunek krzywd,

leżenie żony, spełniającej dwa podstawowe warunki — otoż osoba ta powinna być młoda i tłusta.

Nie jest to jedyny ironiczny akcent opowieści o Berezowskim. O ileż smutniejsza jest puenta całej tej historii: o czynnie nieudany, chybiony, nikt nie pamięta, a jeśli nawet zdarzy się, że ktoś czyni ów zapamięta, to i tak zapomni o jego sprawie.

Można by z tego wysnuć wniosek o daremności czynu, o znikomości ofiary. Nie byłoby to jednak wniosek prawdziwy, w każdym zaś radzie nie jedyny. Bo przecież nie historiozofia jest dla pisarza najważniejsza. I chociaż wyraźnie docenia on wartość patriotycznych tradycji, to jednak cała sprawa Antoniego Berezowskiego rozgrywa się w świecie prób etycznych, w sferze wyboru moralnego, mierzonego jest miarą cierpienia indywidualnego, cierpienia z wyboru, a nie rozgrzeszenia tragicznym narodziłemu losu.

Andrzej Szczypiorski napisał kiedyś, iż postawy moralne bohaterów Jana Józefa Szczepańskiego ocierają się o sam kraniec człowieczeństwa. Jeśli to prawda — to najłatwiej chyba wyobrazić ją sobie w warunkach przedstawionych w „Ikarze” i w „Wyspie”, gdzie piękna sumienia towarzyszy piekło tortur fizycznych.

5

W dorobku tym dość wyraźnie zaznaczają się zainteresowania autotematyczne.

Bohater „Autografu”, wybitny pisarz, ciężko doświadczony przez życie, co rekompensują mu w pewien sposób późniejsze sukcesy twórcze, po otrzymaniu cudzodzielskiej nagrody napisał dedykację jednemu ze swych czytelników: „We wszystkim, co napisałem (lepiej lub gorzej), chodzi tylko o jedno: zawsze do samego końca, sprzeciwiać się nicości”. Najprostszym zabiegiem byłoby odnieść te słowa do twórczości samego Jana Józefa Szczepańskiego, lecz chodzi tu chyba o coś więcej — o jakiegoś heroicznego samozaparcie w poszukiwaniu prawdy życia przy pomocy literatury, o moralną czujność wyrażoną przy użyciu słowa pisanego czy drukowanego.

Nurt autotematyczny jest rodzajem konfessji, intelektualnego wyznania czynionego, rzecz prosta, przede wszystkim we własnym imieniu, lecz także w imieniu ludzi literaturę uprawiających. Bo na nich to czyhają różne pokusy i różne perypetie przeszkadzające w wypełnianiu chlubnych założeń. Dobitnie powiada o tym Szczepański w opowiadaniu „Błogosławione wody Lete”, dając do zrozumienia, iż humanistyczna rola literatury nie może opierać się na kłamstwie, choćby najszlachetniejszym w założeniu.

Labiryntowi życia i świata przeciwstawiać można jedynie wyrazistość i jasność norm postępowania oraz konsekwencję w ich urzeczywistnianiu.

Uwagi o pisarstwie Jana Józefa Szczepańskiego — z konieczności skrócone i ogólne — raczej natury — zakończyć chcę przypomnieniem refleksji zanotowanej w „Portkach Odysa”, pierwszej powieści, wydanej prawie trzydzieści lat temu. Biorąc pióro do ręki raz na zawsze zaakceptował Jan Józef Szczepański reguły rzemiosła, które stało się główną jego pasją:

„Zawód pisarza jest pod wieloma względami zawodem wstydlivym. Ileż to skarbów trzeba ludziom wykraść podstępem, ile zadróżnień strzeżonych schowków odsłonić, ile rzeczom zmienić przemocą wymiary i proporcje, aby złożyły się na harmonijną wizję, wizję, która w mniemaniu autora ma stanowić szlachetniejsze wydanie rzeczywistości. Nieliczni tylko czytelnicy i nieliczni widzowie dramatów zdają sobie zapewne sprawę z tego, że smak dostarczanej im strawy wydobywa się z rzeczywistych cierpień i rzeczywistych radości, które stanowią czyjąś bezcenną własność i nie są na sprzedaż. Ze autor zdobywa te rzeczy drogą nadużyć, krzywdząc swoje modele bez ich zgody, a często nawet bez ich wiedzy. Jeżeli to jest tajemnica zawodu, zdradzam ją teraz. I niech każdy o tym wie. I niech nie ma złudzeń”.

Ale jak tu żyć bez złudzeń?

TADEUSZ
BŁAŻEJEWSKI

MISSION IMPOSSIBLE CZYLI POKONYWANIE LABIRYNTU

tychmiastowa niejako weryfikacja tego ładu, usiłowanie realizowania człowieczeństwa zawieszzonego pomiędzy pocuciem dumy a koniecznością pokory. Ład moralny bohaterów Conrada wyznaczały pojęcia: honor, odwaga, wierność. Wierność sobie. Bo wymierzając sprawiedliwość światu — wymierzamy ją w gruncie rzeczy sobie. Po prostu w imię godności, w imię godności heroicznego. W imię zakorzenionej w nas od pokoleń intuicji, jakiejś iluminacji, która dumnym bohaterom Conrada nakazywała mówić: tak trzeba! Z głębokiej potrzeby pokonywania lęku, nieodłącznego atrybutu każdej przecież egzystencji, z potrzeby pokonywania słabości, z potrzeby porządkowania chaosu.

Taka jest atmosfera duchowa, taka jest „sytuacja Conradowska”, w której sprawdzają się, okazują swoją bezradność lub tylko poszukują nadziei bohaterowie większości utworów Jana Józefa Szczepańskiego. Są to właśnie ludzie poszukujący. Wiedzą, że ośmieszyliby się, i to ośmieszyliby naprawdę — bo przed samymi sobą, gdyby twierdzili, iż posiedli prawdę życia, iż nie warto się trudzić w coraz to nowym wysiłku. W istocie jest to działanie bez końca, praca Syzyfa — jak chcą jedni, bądź czekania na Godota — jak chcą inni. Tak czy inaczej zdaje się, że być jedynym usprawiedliwieniem świadomej egzystencji. Spełnianiem misji niemożliwej do całkowitego spełnienia. Czyli — również — wypełnianiem społecznego posłannictwa literatury.

Pierwszym i najpoważniejszym chyba nawet do dzisiaj źródłem pisarskiej inspiracji była dla Jana Józefa Szczepańskiego wojna: kampania wrześniowa, okupacja, partyzantka. Jak całe pokolenie Kolumbów doświadczył jej smaku — jako podchorążych walczył w 1939 roku, był w niewoli, konspirował potem i walczył w oddziałach partyzanckich w okolicach Włoszczowej i Radomska. W tej wojennej problematyce postawa pisarstwa autora „Polskiej jesieni” uwidacznia się może najbardziej wyraziście: pragnie być świadkiem tego wszystkiego, co sam doświadczył, co przeżył i co widział, świadkiem rzetelnym i uczciwym, jak to się teraz powiada — wiarygodnym.

Wielu krytyków uważa, że najlepszym literackim dokumentem polskiego września jest właśnie „Polska jesień”, zapis niemal pamiętnikarski, znikoma fabularyzacja wojennych doświadczeń dwudziestoletniego podchorążego. Ich głównym wyróżnikiem staje się z dziedziny, bo ono właśnie dominuje po pierwszych zaskoczeniach. Ono określa całą odmienność owego oblicza świata, jakże innego wobec oswojonego świata wcześniejszych doznań i przyzwyczajen.

W warunkach bojowych sprawa heroizmu i żołnierskiego honoru zdaje się być prosta. W sposób bardziej złożony jawi się ona w partyzanckiej codzienności, w trudnych, czasem brutalnych, a czasem w groteskowych okolicznościach. I tu autor „Butów” w swej prawdomówności sprzeniewierza się niejako podstawowemu zadaniu literatury, miast tworzyć czy utwierdzać mity — obala je,

na tak zwyczajnie reagować na zabijanie ludzi.

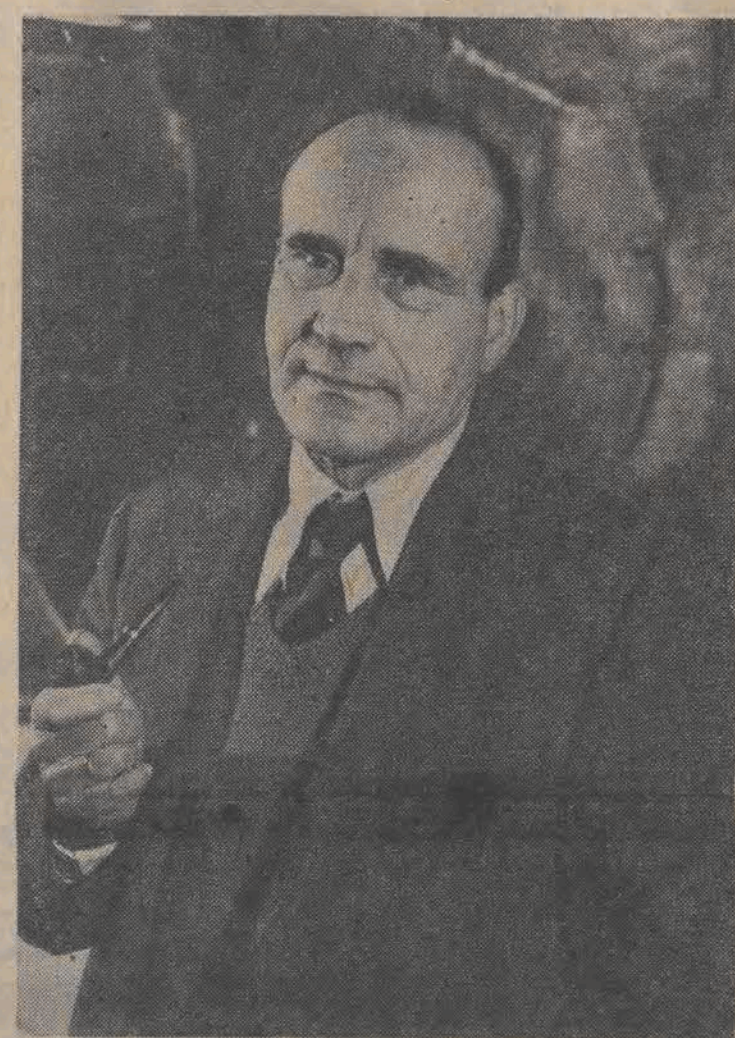
„Czegoś zabrakło. Powinien być żywiołowy wstrząs, gniew, protest, przerażenie. Ale nie było tego: przeciwnie, był zupełnie spokojny. Wiedział tylko, że wyrasta przed nim potwórność, i wiedział, że tę potwórność spostrzeżać dzięki formie, w jakiej się zjawia. Wiedział też, że właśnie formy musi unikać. Wszystko to doskonale rozumiał. Zrozumiał ponadto, że bierny opór, który stosuje, jest już tylko walką o pozory. Powinien był czuć głęboko, powinien cierpieć. Może jeszcze rok temu byłby cierpiał. Ale teraz nie. Było mu tylko nad wyraz niewygodnie. Twarz układała się niewygodnie i trudno...”

Miał wydać okrzyk przerażenia i wstrętu porucznik Wądra dziwi się. Oczywiście mamy tu do czynienia z literacką symboliką, ale i pewnej dosłowności pominąć się nie da. Dosłowności wypełniania obowiązku, wypełniania coraz bardziej beznamiętnego, coraz bardziej atawistycznego, coraz bardziej barbarzyńskiego.

Pojemność owego zdziwienia jest głębsza niż można by na pierwszy rzut oka przypuszczać. Mieści się w nim nie tyle zdolność rozumienia, wyjaśnienia i rozgrzeszenia każdego czynu w imię jakiejś „Wierności” czy „Honoru”, lecz przede wszystkim wątpliwości w istnienie jakiegokolwiek kryteriów nieomylnych, jakiegoś absolutu postępowania. W opowiadaniach „wojennych” wyraźniej niż gdzie indziej pobrzmiewa wyłożona choćby w „Smudze cienia” Conradowska teza o „świecie jako zasadzie, w którą ludzkość wdara się jakby przypadkiem i zupełnie nieproszona, lecz z której nigdy już nie potrafi się wydostać. Jedyną alternatywą dla tej awanturki — wędrowki w czasie i przestrzeni zdaje się być tęsknota do powrotu z niej „z czystym sumieniem”, owa idea fixe umierającego Kurtza z „Jadra ciemności”.

Ciągłe, niemal natrętne, powraca w twórczości Jana Józefa Szczepańskiego problem sądu, owego nieznanego trybunału, którego istnienie (wszystko jedno jak go w końcu konkretyzujemy) wydaje się nieodzowne nie tyle dla naszego lepszego samopoczucia, co dla uzasadnienia pewnej przejrzystości labiryntu, w jakim przyszło nam się poruszać. Cóż by się bowiem stało, gdybyśmy zgodzili się na brak odpowiedzialności, gdybyśmy odpowiedzialność za świat i za siebie zrzucili na jakiegoś abstrakcyjnego, bezosobowego siły (przeznaczenie, historyczne fatalizmy itp.)? Nie specjalnego oprócz konsekwencji etycznych, bo musielibyśmy zgodzić się na całkowitą bezsilność wobec świata, „bez win i zasług, bez dobra i zła”, bez hierarchii spraw i wartości.

Taka postawa nie może wykluczyć nieobliczalnej, wprost przypadkowości historii. Lecz i w niej dostrzec można fantastyczne ironiczne repliki. W „Tapczanie gapowca” autor „Rafy” taką właśnie replikę przedstawia. Oto w berlińskim epilogu drugiej wojny światowej wystąpił doktor „Faust”. Wprawdzie nie ten symboliczny z dramatu Goethego czy powieści Tomasza Mann’a, lecz konkretny — podpułkownik doktor Faust Szkrzawski, który dnia 8 maja 1945 roku w ogrodzie Kancelarii Rzeszy ziden-



Istnieją sprawy, których człowiek sam o sobie nigdy nie rozstrzygnie, niemniej ten trud daremnych nawet poszukiwań jest naszym obowiązkiem.

J. J. Szczepański w wywiadzie dla „Życia Literackiego” (1981, nr 4).

Foto: P. Jaskow

nego wyrażania i intelektualnego sformułowania — sam problem sprawiedliwej oceny istnienia jest czymś w rodzaju obiegowej monety o powszechnym użyciu. Każdy bez mała człowiek, już to pod względem tradycji, już to wskutek własnych doświadczeń, zastanawia się przecież nad tym, czym jest jego życie: zbiorem kolejnych, przypadkowych i wyczerpanych w swoim trwaniu faktów czy też wycinkiem pewnej sensownej i układającej się w perspektywiczną całość drogi? Nie lekceważmy powyższego pytania. Odpowiedź na nie — jak zaznacza współczesny filozof — posiada wysoce praktyczny, choć banalny w gruncie rzeczy, charakter i polega na „ryzyku utraty wartości bieżących na rzecz oczekiwanych wartości ostatecznych” oraz z drugiej strony na „ryzyku utraty wartości większych przez wyczerpywanie życia na wartościach bieżących”.

Inaczej mówiąc polega ona na wyborze między pogardą dla transcendentnej interpretacji codzienności a „ciutaniem grochy na rentę wieczystą”, przeobrażaniem faktów z własnego życia w wartości ponadczasowe.

W znanym esej „Kapłan i błazen” pisze Leszek Kołakowski:

„Jakoż nic w nas nie jest tak zakorzenione, jak wiara w moralne prawo wyrównywania temperatur, to znaczy przekonanie, że świat, na którym ży-

inaczej — w którym nasze wartości ludzkie osiągną swoją realizację kompletną”.

Szkicując przed kilku laty w „Literaturze” portret Jan Józef Szczepańskiego, przypomniał Michał Sprusiński czterowersz Norwida:

Gdyby ducha prąd lub czar kuglarstwa
Pędził obracał w grot, sztukę
w czyn zamieniał kolejką:
Berezowski byłby politycznym Matejką,
A Matejko byłby Berezowskim malarstwem...

Ta gorzka refleksja wielkiego poety powstała wówczas, gdy młody emigrant polski, poprzednio uczestnik powstania styczniowego, Antoni Berezowski (1847 — ok. 1916) usiłował w roku 1867 dokonać w Paryżu zamachu na cara Aleksandra II, gościa Napoleona III. Zamach ten, dramatyczny gest rozgorączkowanej duszy emigracyjnej, wyraz romantycznej indywidualizmu, nie powiódł się. Ranny zamachowiec, ujęty przez policję, uniknął karni i zesłany został na dożywotnie galery w Nowej Kaledonii. Po wielu latach i cierpieniach status galernika zastąpiony został możliwością, że przecież niełatwego, życia osadnika. Wówczas to Berezowski napisał do Władysława Mickiewicza „słynny list, w którym prosi o zna-

JERZY S. FELIKSIK

ODPOWIEDŹ

Ty o fałszu mówisz, że jest tylko plama na rodzinnym stole lub socjalnym płótnie. Nie drażnił ci skóry i nie ciał w tył głowy, więc możesz tonować swój głos jak instrument.

Jeśli gniew dla ciebie jest tylko tabedziem, co syczy na rękę uzbrojoną w gałąź, to nikt ci nie przeszedł po żebrach i gardle — nie doznałeś zdrady i cierpień mało.

Ja stymulowany na śmierć przez bezsenność, znieważonym sercem jeszcze ostrze gniew. Oczy jak w kurzawie. Stąd tyle krwi w słowach, że trudno je wyrwać z piersi jednym tchem.

NA DWORCU

Nie każdy dni układa jak rzeczy w walizce; dla wielu ściana dworca — podpora w udęcie. Samotny wśród turystów podliczasz omyłki, zaciągając swój smutek jak podróżny węzeł.

Pod tą ścianą samotni korzystają z prawa, żeby złożyć nie tylko realne bagaże. Dla ciebie rozkład jazdy jest jak wybór losu — szukasz toru, co obróci pięknym krajobrazem!

APOTEOZA

Apoteoza, jak pizańska wieża, wznosi się krzywo nad niejedną głową. W końcu sezonu idealizowani mają już skazy i obciążeni krzywdą ponizonych nieraz mniej znaczą niż zwyczajny podmiot.

Niejedno imię, choć było w purpurze, zbladło za progiem opinionej czasu. Historyk głuchnie na wielkie owacje, gdy są tak puste, jak imię bez zasług.

WIARUS
Z „WARSZAWIANKI”

Z pola bitwy przywołany na scenę przez bajora siedzi z echem kanonad. Bryzgi błota, krok ciężki jak ów treść oddały dokładniej niż słowa.

Twarz szesnawa od ziemi i dymu. Dłoń jak kamień ciąży mu przy czako. Z wieścią przyszedł do generała, a krew z błotem zostawił pod rampą.

Bez patosu i z gliną na butach wszedł nam w pamięć jak słowo do pieśni. Czas na scenach zmieniał dekoracje. On — krew z gliną, więc nam się nie zmienił.

JAN DŁUGOSZ

Wisła szumiła legendą o Wandzie. Kroniki były bogatsze niż Korczyn. Więc rzucił harce i zieleni młodzieńcy, żeby w głąb dziejów zwrócić swoje oczy.

W Krakowie wiedza w cieniu scholastyki, lecz za Alpami — cała mądrość Rzymu. W klasztornych zbiorach przy żywotach świętych pozostał Kato, Horacy i Liwiusz.

Herb bez tradycji — lampa bez oliwy. Długosz trud podjął na miarę Liwiusza; nie wystarczyła już księga „Banderii” — opis zwycięstwa nad Zakonem w Prusach.

Królewska łaska jest jak piaster miodu, krucha, mniej warta niż folia „Roczników”. Lecz nawet wówczas, kiedy był bezdomny, tworzy Historię jak swój ołtarz Wit Stwosza.

W księgach zostawił wiedzę o stuleciach, opis wydarzeń i miarę pokoleń. Przesłość narodu powołał do życia, choć głowy królów czas pokrył popiołem.

Markowi Koprowskiemu

Był to władca gwałtowny, despotyczny; natura bujna, nieokreślona. Przyszedł na świat w ostatnim roku Wielkiej Wojny i pierwszym roku Długiego Pokoju: dwoistość temporis nasendi, jak dziwne fatum kładła się na życiu i charakterze Księcia; wielce pogardzał życiem, chociaż cenil je najbardziej.

Wychowywał się na krągankach Intelaktu, w rodzinie nie najświetniejszej wprawdzie, lecz o zdrowej proveniencji, cenionym od pokoleń. Jednak uczone spory i dysputy interesowały Księcia o tyle tylko, o ile dostarczyć mogły takiej sceny, którą spożytkować mógłby w zabawie lub krotchwilu. Od wczesnych bowiem lat młodości przypatrywał się Księżu, jak w czasach tych nie cnota i talent torowały sobie drogę, do najwyższych zasług na Dworze, którego elitę i lepsze sfery dotkliwie ugodziły mroźne wojny. Księżu był świadkiem, jak szło Nowe: jak parło z nizin i dolin w górę, bezwzględne, nienasycone, żądne użycia za wszelką cenę, jak zaprzeczano w ciemności Skowu, głoszonemu za dnia; jak niedobitki Starego Dworu i Starej Tradycji próbowały nieudolnie formować kamaryle — i jak wchłaniał je żywioł bez tradycji i kultury.

W swym rodzinnym grodzie nad nieistniejącą już rzeką mógł do woli napatrzyć się Księżu, jak wczorajsi farnale wstępują na urzędy, jak zmieniają pałace w chlewy, jak upada Cnota i szerzy się występki. Lecz im szybciej przez Nowe, tym szybciej zaczyna się starzeć, sięga po stare Formy, a świeżo nobilitowany lud obrosta w tłuszczy i w te obyczaje, które wyszydzał jeszcze wczoraj; jak czyni to, za co widzi na szafot wczorajszych notabli. Powstaje nowe targowisko próżności, na którym trwają te same gry i zabawy najpierw w prostactwie, a potem w coraz bardziej wyszukanej formie. Księżu był świadkiem, jak ginęły resztki dawnej Odwagi na sponspolowanym Dworze, wraz z ostatnimi jej kawalerami, a ci, o bardziej zajętych sercach kryją resztki swej dumy głęboko w sercach, duszy i czynach.

I nawet Księżu — on sam — nie czuł się dość silny, by — gdy przejrzał już reguły Gry i Intrzygi — podnieść przybycie i stawić im czoła w szlachetnej walce. Wybrał Pogardę i Ironię. Odmawia dworskiej służby, bratając się z ludem, w imieniu którego przechwycili władzę uzurpatorzy.

Gdy zatem znudzony połączkami nadgorliwych neofickich przebrów i schematycznymi wywodami scholastycznych bakalarzy już we wczesnej młodości odwieść zaczął miejskie szynki i zamtuzy, szukał tam potwierdzenia tych wartości, które cenil tak wysoko u bohaterów swych młodzieńczych lektur, u autorów, na których zakończył swą literacką edukację w szkołach Ojców Szołarów: diuka Londona, sir Marka Twaina i Ernsta hrabiego Hemingwaya. Dobro rodzi niekiedy zło, a występki — cnota. Prawda ta odnosi się także do Sztuki, na której ołtarzach nakazał by należało nadwornemu skrybie wypisać te słowa: „Dobrych ulepszam, złych gorszę”. Magistra ars dokonuje i w każdym z nas, o szlachetni panowie, owego dychołomicznego podziału, polaryzując materię moralną, która wypełnia nasze dusze. Ale mówmy o Księżu.

Wino szumiło w młodej głowie, szkół wyzyszczył ni uniwersytetów nie koferczy jego jedynym i najwyższym fakultetem było życie wśród plebsu.

„Więc widzimy go przód, jak zmieszany z pospółstwem, acz górujący nad nim przenikliwością umysłu, gwałtownością uczuć i żywotnością swej natury, przebywa w podłych spekulacjach, studiując szkielety ludzkich charakterów, poznając głębię upadku człowieka i jego niedzę.

Poczyńmy tu, szlachetni panowie, i tę dygresję: świat pełen jest wspaniałych, acz wielce upadłych ludzi, upadłych z prawdziwie wielkopaniską manierą, która nie pozwala skąpić swego życia, lecz nakazuje trwonić je szerokim gestem. Wierny sługa Sztuki, dzielny syn francuskiej ziemi Fernand Leger, malarz, wyraża to zresztą pięknie: „W więzieniach, w domach obłąkanych, pod mostami znaleźć można, jestem tego pewien, wspaniałych przedstawicieli ludzkości, którzy nie mieli dość siły, by przekroczyć tę barierę przeciełności i dławiącego rozsądku, wzniesioną przeciwko nim przez porządek społeczny. Kilku ludziom to się udało; są to twórcy i realizatorzy dzisiejsi. Dzięki energii i talentowi potrafili narzucić się społeczeństwu, lecz powinniśmy wiedzieć, że są oni z tej samej rodziny, co łamci. To samo pragnienie wolności i prawdy popychało ich do celu. Wygrali; rządzą teraz wrogiem światem, który musiał ich uznać i zaakceptować”.

Księżu nie czuje litości ani nie zna współczucia wobec tych, których burzliwe fale żywota wymyły za burzę korabiu; wszakże i nie pogardza nimi. Lubią go i podziwiają; kiedy zechce, potrafi przewyższyć ich wszystkich: zabijaków — siłą swych stalowych mięśni, opojów — ilością wypitego na raz trunku, lubieżników — łatwością zdobywania kobiet, oszustów — zręcznością karcanego matactwa. Doprawdy, szlachetni panowie: Księżu umie przewyższyć ich wszystkich gwałtownością wszczętej burdy, chytrąścią szalbierstwa, bezwzględnością wobec wroga, jadem sztyderstwa, celnością dowcipu; a dalej: tkiłością, okazaną kochance lub wielkodusznością wobec pokonanego. Z jaką lekkością sypał dukatami dobrej próby, wygranymi w jakimś zakładzie, gdy przeciw złotu stawiał życie! Tak — księżą krew nie darmo płynęła w jego żyłach. Bo zwany, szlachetni panowie: w łonie ludzkiego gatunku ewolucja nie zaprzestała wcale swej twórczej, różnicującej pracy — są oto ludzie jak zwierzęta i ludzie jak bogowie. Doprawdy, kłnę się na to, co mi najdroższe: między Księżem a niejednym z jego kompanów większa była różnica, niż między dziewczką uliczną na przykład, a tą oto madrą suką Waszej Wysokości, Hrabio, lub małpą Waszego białza, Baronie.

Księżu szybko staje się zym duchem miasta. Dotkliwie daje się we znaki miejskim strażom, a każdy niemal nocny ront nadziewa się na Księcia i jego kompanię, hulającą po mieście. Ale ta kompania rychło nudzi Księcia. Pewnego dnia znika z miasta. Przysiąga do wędrow-

nej trupy cyrkowej.

Wiedzie więc żywot ciury w kręgu cyrkowej areny. Uczy się od treserów ujarzmić dzikie bestie, podpatruje sztuczki żonglerów i prestidigitatorów; pije, dworując, z kłownami, sypia z woltyżkami; próbuje akrobacji i ekwilibrystyki, zastępując w numerze chorego lino-skoczką; objeżdża zapadłe miasteczka, gdzie ciemnym mężom diabeł szepcze dobranoc, głosem pełnym pokusy; wzniesia tłumione żądze, które śpią czujnym snem gadziny, by — gdy zmysły podrażni jego szept — wyrzucić morderską racą z otuliska surowych obyczajów.

I znów widzimy Księcia w mieście, wśród wesołej kompanii niebieskich ptaków, które na wąskim marginesie Konwensu trzepoczą skrzydłami w krótkich wzlotach i bolesnych upadkach. Raz po raz Księżu-Ojciec proponuje

Marian Miszański
KIEDY
UMARŁ
KSIĄŻE PAN...

synowi intratne posady przy Dworze lub w publicznej administracji, pierwsze szczeble obicujacej, urzędniczej kariery. Księżu śmieje się: „Chcecie, ojcze, żebym upodobał się do tej żakosnej bandy intrzygantów i pochlebców, którzy w zamian za lepsze miejsce przy Królewskim stole pozwalają odgryzać sobie smakowite kąski żywota, zachowując nieuczciwie złudzenia wobec swych niekieremnych postaci? Nie, nigdy; moje życie należeć będzie do mnie, tylko do mnie. Skoro już przyszło mi urodzić się w czasach Wielkiego Pozoru pozwól, bym ocalał się na własny sposób”.

Niekiedy, szlachetni panowie, ludzmy się tylko mniemając, że żeby zmienić zasady Gry należy przede wszystkim przystąpić do niej i zasiadać do stołu, a potem — gdy wygramy już trochę pieniędzy, niezależności, władzy — będziemy mogli coraz mocniej uderzać pięścią w stół. Jakże często przecież, zanim to nastąpi, toczymy już układowy dyskurs przy okrągłym stole, pokonani przez system Gry, zanim jeszcze na dobre ją rozpoczniemy. Ale mówmy o Księżu, zachowując w pamięci tę przestroję: żeby wygrać niekoniecznie zasiadać trzeba do Gry.

„Znow burda w szynku, karczemna awantura, zakonczona bójką z patrolem miejskiej straży. Mimo wstawienictwa ojca wyrok Trybunału jest surowy: dwa lata twierdzy. Księżu jednak z radością przyjmuje wyrok — nigdy jeszcze nie był w więzieniu.

W ciemnicy Księżu poznaje nożowników, gwałcieli, morderców; zachwanych i zatwardziały przestępców, którzy ze zbrodni uczynili cnotę. Księżu poznaje tu prawdziwą filozofię występku permanentnego, zachowując wszakże dystans wobec współtowarzyszy niedoli — w jego żyłach płynie przecież błkitna krew. Bawi ich niekiedy żartem i opowieścią, cyrkowym popisem — a od nich uczy się tego, co zachowali jeszcze najcenniejszego w swej nędzy, odrzucając precz robaczywość ich myśli i uczucia.

Z czasem mianują go nadzorcą więziennej biblioteki, rychło też opuszcza mury więzienia. Kilka dni i nocy Księżu cieszy się wolnością w tej samej próżniaczej kompanii; jej przerzedzone szeregi zasilili nowi utracjusze, których nie brakuje w każdym pokoleniu i w każdym roczniku. Wkrótce widzimy już Księcia jako robotnika wielkich spichrzów, pośród godnych pożałowania wielkomielskich stworzeń, najgorzej opłacanych, przepijających wieczorami to, co zarobili za dnia, zdwigających w zwierzęcym trudzie ciężkie ładunki na spoconych barkach. Dośledza tu Księżu emisariusz tajnej policji, proponując, by podjął się „dyskretnych usług” dla konetabla miasta, za trzask srebrników.

— Czasem usłyszycie, panie, o czym gada między sobą to bydło... Wście, panie, rozumiecie...

Czyż Księżu mógł nie zadrwić? Już po kilku dniach pojawił się w cyrku: — No! Usłyszeliście coś? — zapytał naczelnik cyrku.

— Tak, panie — odparł Księżu. — Mimo straszny hałas i gwar posyłałem jednak... — tu Księżu konfidencjonalnie nachylił się do ucha naczelnika, który zamarał w oczekiwaniu — „Posyłałem jednak — powtórzył Księżu — że jeden głośno pierdził.

Wyrzucono Księcia z cyrku, a jego osobą wnet zainteresowano dowódcę gwardyjskiego garnizonu. Za jego to sprawą powołano Księcia w szeregi wielkiej armii.

Poszedł tam z lekkim sercem, ciesząc się myślą o krwawej męce pół świeczek, obficie zraszanych żołnierskim potem Twarde życie zawsze pociągalo Księcia bardziej, niż gnuśność wśród aksamiotów i pluszów pałacowych komnat. Był najlepszym żołnierzem w polu — i najgorszym w koszarach. Atak był jego żywiołem — koszarowa dyscyplina — przekleństwem. Toteż w większym stopniu, niż inni, znalazł komisiarza i czarnej, gorzkiej lury w aresztanckiej celi, na lasce i nielase zdegenerowanego profesora; opuścił ją w wiele niedziel potem, jak jego koledy pojeźdźcy koszar. Nie muszę dodawać, że wszelkie awanse i odznaczenia zdobywane w polu tracił natychmiast w koszarach, degradowany za uchybienia wojskowemu drylowi. Żołnierski stan opuścił Księżu w randze zwykłego szeregowca.

W cywilnych szatach powraca Księżu w dawny nurt swego życia: pokoi subretek i alkowy dam, szynki i salony gier, drwina, sztyderstwo, złośliwe poezje, dedykowane moźnym...

Nie trwa to długo. Znow odmawia nalegań rodzin, by pojął za żonę hrabiankę Z... i podjął się urzędu Małego Łowczego, na czynny dworskiej kariery. W odpowiedzi Księżu przysięga do drwali.

Hen, daleko, na południowo-wschodnich rubieżach kraju ciągną się wielkie lasy, rozcięte zboczami łagodnych stoków, dolinami i parowami, gdzie czają się dzikie zwierzęta i żyją leśni ludzie. Wieści że świata niesie tam przypadkowy myśliwy albo pólnagi pasterz, pędzący swe stada z południa. Księżu żyje tu wśród drwali — rosnących i tak wielkich niemal, jak drzewa, z którymi zmagają się co dzień — o czarnych podniebieniach, nieufnych wobec przybysza. Księżu rozmiłował się w dzikiej naturze tego miejsca, w dzikich sercach tych ludzi. Rok cały ścinał niebotyczne drzewa, a potem przysiał do wypalaczy drzewnego węgla. Sypiał na derce przy ognisku, nad którym szalony wiatr pędził po sinawym niebie czarne, brzemienne chmury. Nastala jesień. Czas odmierzały wachty przy ogniu, który palił się bez przerwy. Wypalacze żyli jak wilecy, które — gdy przyszła zima — często podchodzili pod obozowisko. W leśnej samotni dziczyły obyczaje tych prostych, nieokrzesanych mężów. Księżu, chociaż najmłodszy, z gestą, czarną brodą, która zasłaniała całą twarz, z rozrośniętymi barami i bystro spoglądającymi oczami stał się rychło przywódcą tej dziczającej gromady. Piesć i chytrąść decydowały tu o autorytecie, odporność na trud zaskarbiała szacunek. Księżu sprostał roli.

W tym czasie, na Dworze, jego rówieśnicy robili kariery, mościli swe rodowe gniazda, układali się z wrogami w podłych kompromisach lub zawierali taktyczne sojusze, nie pamiętając już, jakiemu to nadzrędnemu celowi miały służyć. Zdradzali swe żony z cudzymi żonami drząc potem, by nie odeszły z posagami... Podejrzliwie patrzyli w oczy żon, próbując odgadnąć imię kochanka ostatniej nocy. Liczyli pieniądze i szczeble awansów, porównując się między sobą ilością posiadanych rzeczy. Chociaż sprawowali niekiedy sporą władzę — nie nadawali się na władców. Żaden z nich nie był nawet panem samego siebie. Serca ich zawsze pełne strachu, bojaźni i zawiści, gryzącej obawy przez nieznany. Nawet upiiali się na smutno. Nie byli szczęśliwi; matka — natura — szlachetni panowie, surowo każąc strach i słabość.

Gdy Księżu wrócił, wnet skrzyknął niedobitki swej dawnej kompanii; gdy dowiedział się już, co dzieje się na Dworze, kto awansuje, zdrada, kto przekupstwem, kto pochlebstwem, a kto kupując ciałem żony — roześmiał się szyderczo. Zaraz też ogłosił w mieście wszystko, czego dowiedział się w „Czarnej Księdze” gry i intrzygi. Nienawidził go — ale bał się Księcia, a nie możliwości wymierzenia mu kary była dla nich dodatkową meczarnią. Gdy do woli już nauragali dworakom, gdy ośmieszili ich wystarczająco, wyruszył na morze. Na małych, chybottliwych stateczkach rybaków zapuszczał się daleko w morze; latał i suszył sieci; tonął, wyratowano go znów wypływał na morze...

Powiadają, szlachetni panowie, że trzy są najpiękniejsze widoki na świecie: kobieta w tańcu, koń w biegu, fregata pod żaglami; Księżu najbardziej podobała się kobieta w rozkoszy, mężczyzna w walce, sztyderstwo w obiegu.

I znow miasto gada, ożywia się i ciekaw — Księżu wrócił!

W salonie panu D... jest przypadkowo świadkiem dysputy o wolnej woli, o roli jednostek w procesach historycznych. Sekretarz Kancelarii oponuje:

— Wolna wola? Nonsense, istnieje tylko historyczne zdeterminowanie.

Księżu otwiera okno na czwartym piętrze pałacu, gdzie toczy się dyskurs:

— Mocą mojej woli...

Rozkrzyżowuje ręce i rzuca się w dół.

Przeżył i żyć będzie, chociaż zmusił swe ciało do czynu wbrew naturze.

Był wielkim samotnikiem nawet wtedy, gdy otaczał go wesoła banda. Tworzył swe życie, a każdy twórca musi być sam. Tkwi w tej postawie zbyt wielkie ryzyko, by rozkładać je na bliższych.

Sława Księcia narasta bezustannie; to nie tylko władca warcholów, birbantów, utracjuszy, oszustów i zabijaków, to już nie tylko ukochny pan plebsu; życie Księcia, wyzwolone z konwensu dworskiej sfery, nabiera wartości nawet w oczach jej nieodrodných przedstawicieli; a im bardziej czują się skrepowani w tym ciasnym, pełnym pozoru i fałszyw świetle, im bardziej tłumia w sobie ciagoty ku wolności, tym bardziej podziwiają i zazdroszczą Księżu. Nawet ci, których serce nie przeszło nigdy błyskawicą wolności, zazdroszczą w męce: życia na własną modłę.

W tym czasie, jak nigdy przedtem, Księżu ma szansę przystąpić do Gry. Ale i tym razem odmawia, a wkrótce widzimy go przy budowie wielkiej zapory, która spłityrzy wody rzeki. Potem — wśród wiertników, węszących za naftą. Ale za Księżem wędry już śmierć — straszliwa choroba, zwana z łacińska cancer dopada Księcia, gdy ma lat trzydzieści i trzy. Przychodzi paraliż; w nieruchomej twarzy żyją tylko płonące czarnym blaskiem oczy. Ten, który miał w sobie tyle życia, iż mógłby obdarzać nim innych — gaśnie powoli, uieruchomiany, gotując się do przeżycia ostatniej przegody — śmierci. Zauważmy — do przeżycia śmierci.

Nie chce żadnego grobu — rodzina z trudem wymogła na Księżu najskromniejszy kopczyk.

Na pogrzeb Księcia przybyli notabie Dworu, jego stali rezydenci, miejski tłum. Onie mógł by pozwolono mu nieść trumnę z wół drogi do domu. Dworscy stali pobledli nad mogiłą, czując za sobą groźny oddech mrotochu. Ale umarli nie dawali Znaku. Nie cieszyło to dworskich: żywy mógł odmawiać swego imienia tłumowi; w imię zaś martwego...

Nie mnie osądzać to życie; mój zachwyt nawet ukorzył się musi przed przestroją: „Nie masz chwalebego żywota ludzkiego, który poddany surowemu sądowi Pana nie okazałby się godny potępienia”. Tyle tylko dodam:

Kiedy umarli Księżu pan, spod skalnego załomu na cmentarzu trysnęło źródło białego wina; bije tam do dziś, ale nieleczni tylko czują wykwintny smak trunku; tak jak nieleczni tylko dane jest poczucie wolności.



Foto: T. Szymonowicz

MINIATURY TKACKIE

Tkanina unikatowa stanowi ciągłe obszar twórczości plastycznej stosunkowo mało popularny i nie cieszący się dużą frekwencją wśród zwiedzających sale wystawowe. Niewątpliwie przyczyniło się do tego stanu rzeczy zarzucenie przez część artystów tkaczy dekoracyjnej funkcji tkaniny i traktowanie jej jako tworzywa służącego indywidualnej ekspresji twórczej. Ale istnieje też paradoks polegający na tym, że osiągnięcia polskich artystów tkaczy nie

spotykają się z dostateczną akceptacją na gruncie rodzinnym.

Wydało się, że twórczość tę mogą przybliżyć odbiorcy wystawy prezentujące tkaninę artystyczną w formie mogącej znaleźć zastosowanie w dekoracji naszych wnętrz mieszkalnych.

Taką wystawą jest trwająca w Centralnym Muzeum Włókiennictwa ekspozycja pt. „MINIATURY TKACKIE”, prezentująca do obok artystów nowo powstałej w Łodzi grupy twórczej T'80. Sama forma miniaturowej nie jest szeroko eksponowana w polskich salach wystawowych i chociażby już z tego względu wystawę warto obejrzeć.

Wśród autorów znajdują się zarówno profesorowie PWSSP (K. Frymark-Błaszczak, B. Tomaszewicz), jak i ich najmłodsi uczniowie. Artyści prezentują nam prace wykonane różnorodnymi technikami, tradycyjnymi i tymi, które są rezultatem własnej penetracji twórczej.

A. D.

TEATR

Poza wzmianką w biuletynie „Solidarności”, recenzenci wzięli wodę w usta, nie ma nawet informacji w rubrykach „Co, gdzie, kiedy?”, a tymczasem i ma dzień w dzień wypełnia salę Stowarzyszenia Twórców Kultury niemal do ostatniego miejsca. Trwa tak już dwa miesiące i choć minął karnawał, nie słabnie powodzenie pierwszej łódzkiej SZOPKI POLITYCZNEJ i wciąż przedłuża się jej żywot; co więcej, są tacy, którzy utrzymują, że Nowy Rok — dzięki temu — dotelepie się aż do... czerwca.

Czytelnicy „Odgłosów” mieli już okazję poznać drukowane na tych łamach fragmenty „szopki” (patrz nr 51-52 z ub. r.) zresztą najbardziej cenzuralne. Muszę jednak napisać, że wrażenie z lektury i z oglądania widowiska to dwie zupełnie różne rzeczy. Dopiero bowiem na scenie tekst nabiera życia, rozpraszając ewentualne wątpliwości. A jeśli doda się do tego jeszcze, że jest wciąż aktualizowany, poszerzany o nowe osoby i sprawy, a także i to, że wykonawcy niejednokrotnie cuspierają nawet tak elastyczne ramy, improwizując dopinanie, wówczas okaże się, że łódzka „szopka” zdążyła już przepoczwaryć się w coś, co jako żywo przypomina satyryczną gazetę, pełną wierszowanej publicystyki i w dodatku wydawaną bez pomocy linotypów i redaktor Szypowskiej...

Z SZOPKĄ DO WAŁĘSY

Aktualizowanie to zresztą jest nakazem chwili i myśle, że powinno istnieć dalej, co wynika z zobowiązania, jakie już podjęli twórcy. Dwa przykłady. W „szopce” drukowanej w „Odgłosach” M. F. R. był „zaledwie” naczelnym „Polityki”, zrozumiałe że teraz musi co nieco dośpiewać do tamtego tekstu (co czyni). A kiedy 2 marca przysłuchiwałem się pospektaklowej dyskusji reżyser i aktorzy zastanawiali się wspólnie nad propozycją tekstu dla... nowego Premiera (alka bowiem była już gotowa), aczkolwiek starego nie uda się już zdjąć z plakatu, na którym tęsknie czegoś wypatruje zza szopkowej wieżyczki... Jak z tego widać, pomysła okolicznościowo łódzka „szopka” wkrótce stała się — dzięki przyjętej konwencji — nośna nawet i po „ostatkach”.

Jej uroda, podobnie jak dawniej, telewizyjnej przedstawicieli tego — w ostatnich latach — już wymarłego gatunku, jest rozkołysana ruchem i śpiewem korowód znanych osobistości, przemierzających dokładnie tak właśnie, jak w gazetce, gdzie Lech Wałęsa „bije się” o miejsce z papieżem, a Boniek spycha na nonpareil Rakowskiego. I właściwie trudno określić zasadę rządzącą tym, kto może wejść do szopki. Bo cóż łączy eks-premiera Jaroszewicza z Kazimierzem Kowalskim, a Putramenta z Wałęsą? Chyba nasza, widzów, nieobojętność, określona emocjonalną postawą, taką, jaką zwykle mamy wobec sławnych i niestawnych. Wszyscy oni — kierowani ukrytym mechanizmem szopki — przedstawiają się nam raz jeszcze, chwala się albo składają samokrytykę, poddając się pod nasz osąd... Łódzka „szopka” odwołuje się wyraźnie do ludowej tradycji; lud reprezentują tu Pastuszkowie (komentarz i ocena), nacyjacy, chór w antycznej tragedii w krótkiej „nauce” czy morale — uosobienie zdrowego, chłopięcego racjonalizmu i nie poruszonych od wieków, trwałych jak opoka, moralnych zasad.

Ludowa, acz nie w „cepelowskim stylu”, jest w ogóle sama szopka (skąd tylko pomysły tych wieźczek w

kształcie budek telefonicznych?). Nie krakowska, pyszna i jakby coraz bardziej oderwana od źródła, nieco nawet mieszczańska, lecz prosta, aże niemał prymitywna i kryta słomą, a jeśli złocona to uniarkowanie, nie — odpustowo. Siowem, stajnia, nie szopka, dokładnie taka, jak ją w swej piosence opisuje papież:

„Z wierzchu poźłota, a w środku barak,
To nasza polska szopka stara”.

Łódzka „szopka” jest składanką tekstów, a przez to brak jej tradycyjnie rozumianej fabuły, rozpada się raczej na ciąg scenek, ułożonych zresztą na zasadzie kontrastów, zderzeń czarnych i jasnych charakterów, co nie osłabiają tempa, przydaje jej dynamiki. Jednak — już pod koniec widowiska — kompozycja zostaje jakby zachwiana. Jest to w chwili, gdy (po nieco patetycznej inwokacji byłego premiera do papieża o „jakiś cud” i żalach indywidualnego rolnika) na scenę wdziera się nagle z piłką Zbigniew Boniek... trochę może zbyt długo i hałaśliwie absorbując naszą uwagę. Może warto tu było pójść na mały skrót, dla lepszego wyważenia proporcji i uniknięcia dłużyzny.

Ale są to właściwie jedynie zastrzeżenia, bo spektakl toczy się w świetnym tempie, a godzina mija jak z białą strzelą. Dużo uznania należy się aktorom (z Teatru Lalek „Pinokio”, którzy ze swobodą i fantazją animują kukiełki, podchwytyjąc charakterystyczny styl postaci, a także łatwo przerywając się od trawestacji ludowej piosenki lub koledy do operowej arii, od znanego przeboju do kujawiaka (opracowanie muzyki, niemal nie opuszczającej szopki, zastępuje na oddzielnej pochwałę). Na ogół trafione są również lalki, zagęszczone w wyrazie, często bliskie karykatury; dopiełniając to, co w tekście jest szyderstwem bądź „cieplą” ironią. Z całego korowodu wymienilibym tu zwłaszcza szczególnie, moim zdaniem, udane projekty i wykonania kukiełek przedstawiających Wałęsę, Dejmka, Miłozę, Gomułę, Jaroszewicza i Putramenta...

Podczas oglądania łódzkiej „Szopki politycznej” nie słychać „sawu śmiechu” (jak w kabarecie Pietrzaka czy Fedorowicza), widownia słucha w skupieniu, lecz powściąga gwałtowne reakcje, acz nie brak na twarzach uśmiechów i braw przy otwartej kurtynie. Myślę, że ta widownia po prostu pamięta, zbyt nieodległa to bowiem czas, gdy to co dziś staje się coraz bardziej jawne, dardzone jest kpiną i szyderczym śmiechem, było dokładnie zaryglowanym na zamkniętym milczeniu tabu... Łatwość, z jaką przechodzi się od milczącej aprobacji do drwiny i potępienia, musi budzić rozmaite refleksje. I tak jest również w tej „szopce”, która bardziej może daje do myślenia — a jest to rodzaj zadumy gorzkiej, nawet bolesnej, gdyż pozbawiony złudzeń — niż „oczyszczającego” śmiechu. W obecności zasłuchanych i zadumanych widzów przeraża się więc ta „szopka” w — nieco gorzka i nie każdemu miła, to fakt — opowieść o nas. O nas wszystkich. Pod siermiężną powłoką, za zastępnym w masce karykatury smutnym obliczem historii, raz po raz odzywa się narodowe Sumienie...

TOMASZ SOLDENHOFF

Stowarzyszenie Twórców Kultury (al. Kościuszki 33): „Szopka polityczna”. Autorzy: Wiesław Machelko, Jarosław Warzecha, Jerzy Wilmański. Reż. i scenogr. — Jerzy Michalak, karykatury — Stanisław Ibis-Gratkowski, opracowanie muzyczne — Marek Jaszcak.

Wykonawcy — aktorzy: Tadeusz Wojan, Mieczysław Dyda, Włodzimierz Wdowiak, Tomasz Pietrasik, Krystyna Filipiak; muzycy: Marek Jaszcak, Marek Nowicki, Bolesław Ryehlik, Ireneusz Biernacki, Światło — Henryk Pastwiński, akustyka — Władysław Siempiński. Lalki i dekoracje wykonano w pracowniach PTL „Pinokio”. Kier. prod. — Tadeusz Mierzewski. Informacja o biletach — tel. 250-37 (od 9 do 15), dział organizacji imprez STK.

P.S. Stowarzyszenie Twórców Kultury nie zamierza poprzestać na prezentacjach w swej siedzibie i zapowiada podróże z „szopką” do Bratowskiego i Wałęs... Sądze, że ta udana inicjatywa powinna na stałe wejść do łódzkiej — i nie tylko — tradycji kulturalnych. I zapewne wejdzie. Już teraz zresztą słychać i o następnych nowych pomysłach STK z kabaretem literackim, loterią na cele budowy Muzeum Sztuki, aukcjami itp.

T.S.

BALET

„Stworzenie świata”, najnowsza premiera utworu A. P. Pietrowa do libretta i w choreografii M. Kury potwierdziła głęboki kryzys artystyczny Teatru Wielkiego w Warszawie. Zrealizowano przedstawienie niegodne naszej reprezentacyjnej sceny baletowej zarówno ze względu na zamysł, sposób realizacji, jak i gatunek utworu. Uznanie mogła wzbudzić jedynie pyszna, bajkowa scenografia oraz świetna interpretacja partii Diablicy w wykonaniu R. Smuwały, której dzielnie sekundował, jak zwykle w wybornej dyspozycji, J. Wiśniewski, jako Diabeł. Zawiodł choreograf, który skonstruował bardzo nierówną kompozycję, nie zachwycił pozostałymi solistami i tancerzami z corps de ballet; zabrakło precyzji wykonania oraz temperamentu i ekspresji w scenach zbiorowych (diabelska orgia). Nie stała na wysokości zadania orkiestra TW — jej opracowanie i wykonanie muzyczne nie dorównało lekkiemu dowcipowi nie najlepszej przecież choreografii inspirowanej słynnym cyklem rysunkowym francuskiego karykaturzysty Jeana Effela.

Od wielu lat niepokoją narastający marazm i błędy repertuarowe naszej, zdawałoby się, najlepszej sceny. Obserwując i analizując koncepcje i dokonania artystyczne nietrudno zauważyć całkowity brak myśli, treści i kompetencji — plany artystyczne są przypadkowe i eklektyczne; widać, że los zespołu baletowego jest organizatorem życia teatralnego głęboko obojętny. Zresztą wszelkie bolączki tej sceny zdają się być charakterystyczne dla całego polskiego baletu.

Parę lat temu J. Berski („Balet bez repertuaru”) wskazywał na kolejny kryzys repertuarowy TW w Warszawie, a jedną z przyczyn upatrywał w izolowaniu się od dorobku i propozycji polskiej choreografii. Stwierdził również brak repertuaru współczesnego, odciecię się od najnowszych nurtów i źródeł nowoczesnej twórczości teatralnej. Czy coś od tego czasu uległo zmianie na lepsze? Niestety nie. M. Krzyszkowska niepomna ostrzeżeń, dalej wiodła z irracjonalną konsekwencją swój zespół do coraz większego upadku. Ostatnie sześć premier zawierających 20 tytułów przygotowali w większości przeciwni zagraniczni twórcy: Yuri Kuzniecowa, Jelizaweta Kura. Prawdziwą ozdobą stoletniej sceny okazały się jedynie kom-

pozycje Mendeza, zawiody balety renomowanego Liffa. Nie zabrano o współpracy z aktualnie najwybitniejszymi mistrzami: Balanchinem, Bejartem, Neumeierem, Robbinssem, Taylorem, Grigorowiczem, Dantziem, Manenem. Jedynie dwie (sic!) miniaturowe zrealizowali rodzimi twórcy: J. Graczyk oraz wspólnie W. Gruca i Z. Rudnicka. Balet warszawski oparli artyści zagraniczni, a przecież, jak powiada Berski — „teatr ten musi być — w pierwszym rzędzie — tworzony przez polskich twórców”. Nie dostąpił zaszczytu realizacji swoich kompozycji uznani specjaliści tej klasy co Drzewiecki, Sobiesiak, Sliwa, Golebiowski, Klauzner, Jarzyna-Sobczak, Korycki, Kopinski, Patkowski, Statkiewicz. Smutna przyszłość czeka nowych twórców — Bochenkową, Compe, Gruszkównę, czy Sokólskiego. Obiecującym debiutantom nie stwarza się kolejnej

lepszych ubiegłorocznych absolwentów szkoły warszawskiej. A. Grobka „umiejętnie wkomponowała” się w przeciętnie i bez wery tańczący corps de ballet (ostatnia premiera).

Zarówno warszawska scena, jak i cały polski balet znalazły się w impasie. Berski powiada, (Zróbmy „coś” sami), że w naszych teatrach muzycznych występuje całkowita przypadkowość w doborze baletowego repertuaru oraz znaczny spadek regularności premier, a także, że poziom wykonawczy, tak klasyczny, jak i współczesnej choreografii przedstawia wiele do życzenia. P. Chynowski („Pobojowisko”) określił stan rodzimych twórczości choreograficznej, jako doszczętną niemal ruinę, jako pobojowisko.

Narosło przez lata wiele palących i nie rozwiązanych problemów wymagających natychmiastowego działania. Pojawili się już, jakby pierwsze przesłanki zwiastujące nadejście nie-

STWORZYĆ BALET

szansy. — Graczyk i Rudnicka od marca 1979 r. zasilają szeregi nie docenionych bezrobotnych. Odeszły ze sceny, prawdopodobnie na zawsze, mistrzowskie koncepcje Parnella, Wójcikowskiego, Zajlicha i Miszczyka, a także prace wielu innych utalentowanych choreografów. Opuścili kraj Glegowski i Makarowski.

Trwa nieprzerwanie dramatyczny exodus — marnotrawstwo pracy, wysiłków i środków, eskalacja zawiedzionych nadziei, bo oto do licznego grona świetnych tancerzy emigrantów (Wiesłowski — obecnie wzięty pedagog szkół baletowych Europy, Gaworczyk, Witk, Nardelli, Ziemiński i inni) dołączyli ostatnio Wołk-Karaczewski (powtórnie) wraz z żoną oraz Sikorska.

Dziwne, że w dalszym ciągu Teatr Wielki dysponuje jeszcze liczną grupą utalentowanych i wyróżniających artystów, zwłaszcza, że obecna struktura organizacyjna i artystyczna nie sprzyja rozwojowi osobowości i potencji twórczych tancerzy. Brak nowego repertuaru, znikoma ilość premier, niewielka liczba przedstawień sprawia, że wielu tancerzy miesiącami nie ogląda się na scenie — Wołk-Karaczewski po powrocie z Baletu XX w. Bejarta zatańczył w ciągu pięciu miesięcy zaledwie w czterech (sic!) przedstawieniach. Do teatru trafiają ze szkół baletowych coraz gorzej przygotowani młodzi adepci sztuki. Dość powiedzieć, że jedna z naj-

uniknionych zmian. Utworzono wreszcie radę ds choreografii przy Departamencie Teatru, Muzyki i Estrady MKiS. Zapowiedziano na ten rok krajowy zjazd środowiska baletowego. Powstają jednak obawy i wątpliwości, czy owa rada i zjazdowa dyskusja oraz utrzymanie w mocy Łódzkie Spotkania Baletowe i ogólnopolskie konkursy tańca i choreografii wytyczą właściwy kierunek i naprawie rzeczy pospolitej baletowej. Berski powiada, że wystarczy, aby skonsolidowane środowisko przemówiło swoim własnym głosem, gdyż są środki w postaci tzw. zaplecza i bazy materiałowej (szkoły, teatry, państwowy mecenat). Otóż sądzę, że wspomniana integracja jest warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym, gdyż nie ma ani odpowiedniego zaplecza, ani dostatecznej bazy materiałowej, ani właściwego mecenatu państwowego, a także zdrowych mechanizmów ekonomicznych mogących w sensowny sposób kształtować życie artystyczne w przedsiębiorstwie baletowym.

Przed wszystkim trzeba zadbać o rozwój i dynamiczną rozbudowę zaplecza, o średnie i akademickie szkolnictwo baletowe, o właściwe wykształcenie zarówno uczniów, jak i pedagogów. Aktualny stan, poziom przygotowania do zawodu, przedstawia się bardzo mizernie. Nawet niektórzy spośród najbardziej utalentowa-

nych solistów są niedostatecznie przygotowani do podolania najwyższemu wymogom, jakie stawia sztuka baletowa; zauważa się niekiedy rażące niedociągnięcia, zle uczucie i wyrażenie cech motorycznych (głębokość i tzw. rozciąganie), a także brak umiejętności aktorskiego opracowania roli. Znacznie gorzej przedstawia się przygotowanie najliczniejszej grupy absolwentów zasilaających na stałe corps de ballet.

Kolejna kwestia, to kształcenie choreografów. Wielcy i wybitni twórcy potrafili obejść się bez szlif akademickiego. Wystarczył im talent, indywidualność, ciężka praca i siła przebiecia, a samorodny talent wcześniej, czy później zabłyśnie na firmamencie sztuki. Ale oprócz wybitnych samouków, którzy nadają ton światowej choreografii, tworzą również mniej zdolni, szeregowi artyści. Ich prace w większości wypełniają sceny teatralne, a jeżeli nawet nie, to i tak warto zadbać, poprzez akademicki wzór, o poprawność warsztatu, należy też poszukiwać odpowiednich form wypowiedzi ukierunkować (opieka artystyczna) choreograficzne wizje. Nie można, jak sugeruje J. Turska („Choreograf z dyplomem?”) zostawić przyszłych twórców bez opieki, skazać na amatorskie samouctwo. Nie wolno marnotrawić ludzkiej energii na marność, nieukierunkowane, a także często bezowocne poszukiwania (K. Wrzosek i D. Gutek — ostatnie debiuty w „Trzech głosach” w TW w Łodzi). Warto i trzeba organizować od podstaw szkolenie akademickie, zadbać o podniesienie ogólnego poziomu polskiej choreografii, nawet jeśli początki tego szkolnictwa będą trudne i kosztowne.

Wszystkie postulowane zmiany zależą od mecenatu państwowego, który, jak dotąd, nie sprzyjał rozwojowi polskiego baletu; stracił kontakt z jego codzienną rzeczywistością, zabrakło tego co Nietzsche określił: wyczuciem i zrozumieniem ziemi (do niedawna o kwestiach merytorycznych choreografii w Ministerstwie Kultury i Sztuki decydowali w najlepszym razie muzykolodzy). Być może nowo utworzona rada ds choreografii, merytoryczna dyskusja na zjeździe środowiska baletowego, a także rzeczowe wnioski z analizy aktualnego stanu polskiego baletu wpłyną na aktywizację mecenatu państwowego.

JERZY KOSIEWICZ

1.

Biblioteki publiczne pojawiają się w Polsce w połowie XIX stulecia. Pierwsze założył w Warszawie Wydział Czystej i Bezpiecznej Warszawy Towarzystwo Dobroczynności. Biblioteki były też prowadzone przez stowarzyszenia społeczne, m. in. Towarzystwo Oświaty Ludowej.

Inicjatywę organizowania bibliotek powszechnych z księgozbiorem polsko-rosyjskim podjęli w latach 90 władze carskie, nie zdobyły sobie jednak one popularności wśród społeczeństwa. Po Rewolucji 1905 roku wytworzyła się sytuacja sprzyjająca rozwojowi polskiego szkolnictwa i oświaty. W 1905 roku powstała Polska Macierz Szkolna, która stała się najważniejszą instytucją oświatową w Królestwie Polskim. W 1907 roku miała ona już ponad 50 bibliotek oświatowych, głównie w ośrodkach prowincjonalnych. W tym samym roku jednak jej działalność została zawieszona i do 1916 roku istniała nielegalnie, podejmując działania w oparciu o inne stowarzyszenia.

W akcji tworzenia bibliotek miały też swój udział: Towarzystwo Kultury Polskiej, Towarzystwo Krzewienia Oświaty, stowarzyszenia chrześcijańskie, organizacje robotnicze i związkowe. Coraz częściej pojawiały się wypożyczalnie prywatne. W pierwszych latach XX wieku, obok placówek oświatowych, zaczęły powstawać duże biblioteki publiczne z księgozbiorem naukowym.

2.

Szybki rozwój Łodzi pozostawał w rażącej dysproporcji do poziomu wykształcenia mieszkańców. Jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych blisko 50-tysięczna Łódź posiadała 73 procent analfabetów. Sprawy książki w robotniczym mieście przez wiele lat schodziły na plan dalszy. Wprawdzie pierwszą księgarnię utworzył w Łodzi, w roku 1848, Jankei Gutstadt, ale przez najbliższe lata nie posiadała ona konkurenta. Obok księgarni był antykwariat i wypożyczalnia książek. Z dokumentów archiwalnych wynika, że w 1850 roku księgarnia ta posiadała na składzie „dział klasycznych i do czytania 310”, a w dziesięć lat później — 850.

W 1859 roku otwiera swe podwoje druga łódzka księgarnia, własność Juliusza Arndta i Gotfryda Berlacha, utrzymująca na składzie książki w języku polskim, niemieckim i angielskim. W 1872 roku Łódź wzbogaciła się o dalsze dwie księgarnie: Miłsicha i Hendricha. Te ostatnią odkupił wkrótce Cezar Richter i przekształcił w księgarnię wydawniczą, z której wyszły pierwsze łódzkie kalendarze i pierwszy, wprawdzie w języku niemieckim, przewodnik po mieście (1893 r.).

W roku 1882 Cezar Richter odsprzedał swą księgarnię Ludwikowi Fiszerowi, która szybko stała się centrum łódzkiego handlu książką, a także jedną z najważniejszych firm księgarskich w Królestwie. Fiszer rozwinął również ożywioną działalność edytorską, specjalizując się w wydawaniu podręczników szkolnych, literatury pięknej i książek dla dzieci. Był również nakładcą „Ogólnego Rodzinnego”, pierwszego w Łodzi czasopisma kulturalno-literackiego. Przy księgarni funkcjonowała wypożyczalnia książek, bogato zaopatrzona w literaturę polską i obcą. Korzystanie z księgozbioru ułatwiali drukowane katalogi. Od 1896 roku księgarnia mieściła się przy ul. Piotrkowskiej 49, tam, gdzie dzisiaj znajduje się księgarnia „Pegaz”. Przedsiębiorstwo istniało do 1932 r., później księgarnię odkupiła i prowadziła pod swoim nazwiskiem Szarlotta Seipelt.

U schyłku stulecia działała w Łodzi 15 księgarń. Z niewielkimi wyjątkami były to niewielkie księgarnie i antykwariaty. Działalność wydawnicza, poza formami Richtera i Fiszera, prowadziła „Księgarnia Łódzka” Władysława Kaczmarka oraz księgarnie nakładowe Walentego Kolińskiego, Roberta Schatke i Leopolda Zonera, a także działająca w latach późniejszych księgarnia Stanisława Miszewskiego. Na początku XX stulecia liczba księgarń wzrasta. Powstała też filia „Gebethnera i Wolffa” jednego z głównych dostawców książki w okresie międzywojennym. W latach I wojny światowej powstał w Łodzi oddział warszawskiego Towarzystwa Szerzenia Oświaty, prowadzony drukarnym „Czytaj”. Księgarnia, prowadzona przez Kazimierza Pawlaka, działała przy ul. Narutowicza 2 jeszcze przed kilkoma laty.

3.

Początki drukarstwa w Łodzi wiązały się z przybyciem z Warszawy Feliksem Gotzem, który w 1859 r. założył zakład graficzny „Litografia F. Gotz”, gdzie odbijał głównie drob-

ne druki ulotne i akcydensy. Za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Syberię, drukarnię zlikwidowano. W dwa lub trzy lata później powstała drukarnia i litografia Jana Petersilgego. Prowadzona z dużym rozmachem i stale modernizowana, przez długie lata znajdowała się w czołówce łódzkich oficyn drukarskich. Petersilge jako pierwszy podjął się wydawania pisma periodycznego pt. „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger”, przekształconego od 1865 r. w pismo codzienne pt. „Lodzer Zeitung”.

Dopiero w końcu stulecia powstała duża i nowoczesna drukarnia Roberta Resigera, a w 1908 r. pierwszy zakład chemigraficzny Romana Borkemhagena. Wraz z rozwojem prasy powstawały drukarnie, przystosowane do druku gazet. W okresie międzywojennym pracowało ok. 120 drukarni, z wiekszych przedsiębiorstw można wymienić zakłady Romana Tylko, drukarnie „Libertas”, „Kompas”, zakłady Edwarda Kulisa i Bolesława Freilicha, Drukarnię Państwową. Najwyższy poziom typograficzny osiągnęła „Drukarnia Polska” Ludomira Mazurkiewicza, z której wyszło wiele pięknych, artystycznych druków, m. in. wszystkie wydawnictwa Towarzystwa Bibliofilów w Łodzi.

4.

Pierwsza łódzka biblioteka publiczna powstała dopiero w latach 80 ubiegłego stulecia. Założył ją przybyły z Warszawy adwokat, a po trosze dziennikarz, Henryk Elzenberg. Tzw. „Czytelnia” działała w latach 1880-1883 i była powszechnie dostępną wypożyczalnią książek. Podstawę egzystencji stanowiły niezbyt wygórowane opłaty członkowskie, natomiast księgozbiór był wspólną własnością czytelników. I-

MAREK CZECHOWSKI

ŁÓDZKIE BIBLIOTEKI

nicjatywę Elzenberga podjął inny łódzki adwokat — Emil Holc, organizując w swoim mieszkaniu przy ul. Piotrkowskiej 265 placówkę „Czytelnia Łódzka”. W chwili otwarcia biblioteka posiadała 175 książek, beletrystycznych i naukowych, a korzystało z niej 62 czytelników. W rok później księgozbiór liczył 221 tomów, liczba czytelników wzrosła do 80. Książki udostępniano dwa razy w tygodniu, w niedziele i czwartki. Tytułem wpisowego pobierano 2 ruble 50 kop. oraz 50 kop. miesięcznego abonamentu.

Po śmierci Emila Holca w 1883 r. bibliotekę przejął Adolf Kon, natrafił jednak na liczne trudności, brakowało mu też pieniędzy na zwiększanie księgozbioru.

W tym czasie powstały czytelnie przy oddziale Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Pracowników Handlowych (istniała do ok. 1930 r.), przy stowarzyszeniu subiekto. Działały też biblioteki fabryczne, założone po roku 1897 przy firmach Kunitzera i Heinza czy Scheiblera. Obok literatury beletrystycznej posiadały one starannie skompletowany księgozbiór fachowy z dziedziny techniki i włókiennictwa. Korzystali z niego bezpłatnie pracownicy fabryki oraz mieszkańcy pobliskich domów rodzinnych. W 1900 r. księgozbiór liczył 4175 tomów, w dziesięć lat później — 5400. W okresie późniejszym powstały dalsze biblioteki fabryczne przy zakładach Hirmberga i Wilczyńskiego, Leonhardta, Rosenblatta, Rychtera i Schweilkerta.

5.

Długą i ciekawą historię posiada wypożyczalnia, założona w 1898 r. przez Bronisława Rogowskiego. Odkupiona w 1907 r. przez siostry Felicję i Halinę Pieńkowskie, biblioteka pod nazwą „Pierwsza Łódzka Wypożyczalnia Książek” funkcjonuje do dnia dzisiejszego, niezmienne, w tym samym lokalu przy ul. Andrzeja 5. Odegrała ona dużą rolę w rozwoju oświaty i czytelnictwa, szczególnie w okresie przed powstaniem sieci bibliotek miejskich. Właścicielki współpracowały z placówkami oświatowymi Towarzystwa Krzewienia Oświaty, w trosce o rozwój czytelnictwa nawiązywały kontakty ze stowarzyszeniami robotniczymi. W 1911 roku wypożyczalnia dysponowała 11-tysięcznym księgozbiorem, przed wybuchem ostatniej wojny liczba książek wzro-

stała do 25 tysięcy, przy czym około 30 proc. stanowiły dzieła naukowe i popularnonaukowe.

Własne księgozbiory posiadały też Stowarzyszenie Nauczycieli, Towarzystwo Lekarskie, Koło Kolarzy, Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, Stowarzyszenie Komiwojażerów. W 1907 r. założona została biblioteka Gimnazjum Państwowego Gimnazjum im. M. Kopernika. Liczny księgozbiór zgromadziła szkoła Zgromadzenia Kupców.

Czytelnie i wypożyczalnie książek dla robotników uruchomiło Towarzystwo Oświatowe „Wiedza”. Z inicjatywy działaczy stronnictwa narodowo-demokratycznego już w grudniu 1905 roku powstało w mieście siedem kół Polskiej Macierzy Szkolnej. Własną placówkę biblioteczną zorganizowało wówczas jedynie Koło Północne PMS.

W 1906 r. Kazimierz Marian Stebelski, z zawodu inżynier budowlany, ofiarował sumę 500 rubli z przeznaczeniem na założenie Biblioteki Ludowej im. Stebelskich. Organizacją biblioteki zajęło się śródmiejskie koło PMS, działające pod kierownictwem Wiktora Czajewskiego, wydawcy i redaktora „Rozwoju”. W czerwcu 1907 r. otwarto bibliotekę w lokalu przy ul. Piotrkowskiej 117 (później biblioteka mieściła się przy ul. Mikołajewskiej 57 — dziś Sienkiewicza). Jej księgozbiór liczył 2300 tomów. Obok beletrystyki zgromadzono wiele dzieł naukowych, przede wszystkim z dziedziny historii i nauk przyrodniczych oraz sporo rzadkich druków i rękopisów. Działalność biblioteki przebiegała pomyślnie. W 1913 roku księgozbiór liczył już 3 tys. tomów, a korzysta z niego 700 stałych abonentów. Wieleletnim pra-

cownikiem biblioteki była Tekla Korzeniewska, krewna Stebelskich, która przyczyniła się do uprządkowania i opracowania zbiorów. W 1909 r. ukazał się „Katalog Biblioteki Stebelskich w Łodzi”. W listopadzie 1914 r., na skutek działań wojennych, biblioteka uległa zniszczeniu. Nieliczne ocalałe książki przejęło Towarzystwo „Wiedza”.

W 1905 r. powstało z inicjatywy dr Mieczysława Kaufmana Towarzystwo Krzewienia Oświaty, skupiające w swych szeregach przede wszystkim inteligencję, pochodzenia żydowskiego. Ideą przewodnią Towarzystwa było hasło oświaty dla ludu, co w myśl ówczesnej teorii asymilacji miało zapewnić w społeczeństwie złągodzenie nastrojów antysemickich. Główną linią działania TKO były systematycznie prowadzone kursy nauki czytania i pisanie oraz rozwój czytelnictwa w oparciu o sieć własnych placówek bibliotecznych. Pierwsze trzy wypożyczalnie TKO powstały w roku 1907, w 1912 otwarto czwartą, a w trzy lata później — piątą. Uruchomiono również dwie placówki z literaturą żydowską. Biblioteki TKO funkcjonowały nieprzerwanie do 1937 roku.

6.

Próbie utworzenia w Łodzi biblioteki naukowej, której brak coraz dokuczliwiej dawał się we znaki, podjął Oddział Łódzki Towarzystwa Kultury Polskiej, założony w 1908 r. Zebranie organizacyjne odbyło się 19 maja, na którym współorganizator i przyszły prezes TKP, Aleksander Mogilnicki, w referacie programowym podkreślił konieczność powołania do życia biblioteki z księgozbiorem naukowym i czytelnią oraz podjęcie prac mających na celu rejestrację zbiorów naukowych w mieście, będących zarówno własnością społeczną jak i prywatną. Sprawa katalogu centralnego, podejmowana zresztą wielokrotnie w okresie późniejszym, nie doczekała się realizacji. Natomiast myśl utworzenia biblioteki, będącej warsztatem pracy naukowej miejscowych intelektualistów, trafiła na podatny grunt, a przeprowadzona przez członków TKP zbiórka książek i pieniędzy pozwoliła już wkrótce na uruchomienie najpierw czytelnii (6. 05 1909), a następnie biblioteki (20. 11. 1910) w lokalu przy ul. Średniej 11 (dziś Nowotki). Biblioteka zgromadziła 2500 książek, głównie naukowych, przenieśli ją 40 tytułów pism pe-

dycznych. Czytelnia otwarta była codziennie, a wstęp do niej był bezpłatny. Po likwidacji TKP w r. 1913, księgozbiór przejęło Towarzystwo Krzewienia Oświaty.

7.

W okresie I wojny światowej żywą działalność oświatową rozwinęły organizacje robotnicze, a przede wszystkim Robotnicze Stowarzyszenie Oświatowe „Światło” i Robotnicze Towarzystwo Oświatowe „Naprzód”. Jedną z ciekawszych akcji było zorganizowanie przez RTO „Naprzód” biblioteki w dzielnicy Włóczęgów, nazwanej później imieniem jej założyciela — Klemensa Lipińskiego.

W 1916 r. reaktywowała swą działalność Polska Macierz Szkolna, otwierając szereg wypożyczalni i czytelnii. Do pracy nad upowszechnianiem czytelnictwa włączyły się niemalże wszystkie działające wówczas organizacje społeczne. Na uwagę zasługuje zorganizowanie w 1918 roku przez A. Kona biblioteki przy Towarzystwie Prawniczym (istniała do 1939 r.).

8.

Z inicjatywą zorganizowania biblioteki publicznej wystąpiło Towarzystwo Krzewienia Oświaty. Zarząd, z dr. M. Kaufmanem odwołując się do ofiarności społeczeństwa, deklarując ze swej strony wkład pieniężny i cztery tysiące książek, otrzymanych z Biblioteki Publicznej w Warszawie. Pierwotna koncepcja jednak upadła, natomiast rolę organizatora przejął, powołane do życia 30 maja 1916 r., Towarzystwo Biblioteki Publicznej, zrzeszające 293 osoby i instytucje. Funkcję prezesa pełnił dr Seweryn Sterling. Towarzystwo zbierało dary, prowadziło zakupy. W 1917 roku zaangażowano bibliotekarza. Był nim Jan Augustyniak, który po kilkumiesięcznej praktyce w Warszawie przystąpił do pracy w lipcu 1917 roku i kierował biblioteką do chwili przejścia na emeryturę, to jest do 1963 roku. Oficjalne otwarcie Biblioteki Publicznej odbyło się 11 października 1917 roku. Pierwsi czytelnicy mieli do dyspozycji około 500 tomów.

Pierwotnie siedziba Biblioteki była kamienica przy ul. Piotrkowskiej 150, rychło jednak zaszła potrzeba powiększenia lokalu. Bibliotekę przeniesiono do budynku przy ul. Andrzeja 14, gdzie mieściła się do 1950 roku. Budowę gmachu przy zbiegu ulic Gdańskiej i Kopernika rozpoczęto w 1937 r., przewidując oddanie do użytku na rok 1940. Budowę ukończono dopiero w 1950 r. Niewielki początkowy księgozbiór, dzięki systematycznym zakupom, a przede wszystkim napływającym licznym darom, już w cztery lata od momentu otwarcia placówki, liczył ponad 26 tys. tomów, by w przededniu II wojny światowej dojść do 63 tys. tomów.

Z początkiem 1919 r. z inicjatywy J. Augustyniaka, powstało koło łódzkie Związku Bibliotekarzy Polskich. Członkowie koła, obok regularnie odbywanych zebrań i prelekcji, przystąpili do prac, mających na celu rejestrację stanu bibliotekarstwa oświatowego w mieście i województwie, prowadzili badania czytelnictwa, podejmowali prace naukowe z dziedziny bibliologii. Organizowano również kursy szkoleniowe dla bibliotekarzy.

9.

25 marca powołano do życia Państwową Centralną Bibliotekę Pedagogiczną. Zależek przyszłych zbiorów stanowił wieczysty depozyt Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, zawierający wiele cennych, starych druków. Z biblioteki korzystali przede wszystkim nauczyciele z terenu łódzkiego okręgu szkolnego, a o powodzeniu, jakim cieszyła się instytucja, świadczyć może niemal 10 tys. wypożyczonych książek w samym tylko roku 1931. W przededniu II wojny biblioteka posiadała 20 tys. woluminów książek i czasopism z dziedziny nauk humanistycznych, ze szczególnym uwzględnieniem nauk pedagogicznych. Biblioteka inicjowała badania naukowe i prowadziła prace bibliograficzne.

Księgozbiór naukowy funkcjonował także przy założonym w 1928 roku Oddziale Łódzkim Wolnej Wszechnicy Polskiej. Biblioteką kierowała Natalia Gąsiorowska, wiele lat funkcję bibliotekarza pełnił Roman Konecki, który przed osiedleniem się w Łodzi był inicjatorem zorganizowania biblioteki miejskiej w pobliskich Pabianicach. Biblioteka WWP zgromadziła ośmiotysięczny księgozbiór, w którym przeważały dzieła historyczne i ekonomiczne-społeczne, posiadała także spory zasób przerwoczy. Korzystali z niej głównie profesorowie i słuchacze uczelni.

MIKOŁAJ PROKOPOWICZ Z SZADKU

W XVI stuleciu, w okresie rozkwitu polskiej nauki, wśród profesorów Akademii Krakowskiej odnajdujemy uczonych pochodzących z województwa sieradzkiego. Trzeba tu wymienić przede wszystkim Mikołaja Prokopowicza (syna Prokopa) z Szadka — miasta, z którego w XV i XVI wieku rekrutowało się wielu studentów krakowskiej uczelni.

Mikołaj Prokopowicz urodził się we wspomnianym mieście w roku 1489. Na krakowskim wydziale nauk wywołonych został w roku 1508 bacz-

żarzem, a w roku 1512 — magistrem. Jeszcze w półroczu letnim tego roku rozpoczął wykłady w Akademii Krakowskiej, zaś w roku 1515 wszedł do Kolegium Mniejszego i objął katedrę astrologii na wydziale nauk wyzwolonych.

W tym czasie, dzięki energicznemu staraniom Macieja z Miechowa — rektora Akademii Krakowskiej — przeprowadzono reorganizację katedry astrologii i wprowadzono w życie ustawę, stanowiącą, ażeby jeden i ten sam profesor kierował katedrą i prze-

15 lat. Mikołaj Prokopowicz był pierwszym profesorem, który przez tyle lat pełnił te obowiązki. Jego też należy uważać za kontynuatora dzieła odnowy astrologii, rozpoczętego przez Macieja z Miechowa. W latach 1523—1535 uczony rodem z Szadka był dziekanem wydziału filozoficznego. W roku 1548 doszedł do najwyższej godności uniwersyteckiej, tzn. do objęcia stanowiska rektora Akademii Krakowskiej. Funkcję tę piastował następnie w latach 1549, 1557 i 1560.

Mikołaj Prokopowicz nauczał m.in. elementarnej geometrii, optyki, meteorologii, sposobu układania kalendarza, arytmetyki i astronomii teoretycznej. Przedmiot jego wykładów stanowiły głównie dzieła Euklidesa i Ptolemeusza. Pisał pierwsze w języku polskim kalendarze, z których jeden został wydrukowany w znanej krakowskiej oficynie Hieronima Wietora w roku 1528. Pozostawił też po sobie codzien-

ne zapiski historyczne z lat 1556—1564.

Uczony z Szadka prowadził wnikliwe obserwacje zjawisk niebieskich. Obserwował on kilka częściowych i całkowitych zaćmień Księżyca (1522, 1523, 1526 i 1527 r.). W jego prognozykach występują wzmianki o obserwacjach komet, które pojawiły się w roku 1531 i 1532. Na podstawie własnych obliczeń przepowiedział on na dzień 29 grudnia 1523 roku możliwość zobaczenia rzadkiego i ciekawego zjawiska, jakim było przejście planety Wenus przed tarczą słoneczną.

Mikołaja Prokopowicza można nazwać współpracownikiem naszego wielkiego uczonoego — Mikołaja Kopernika, z którym zawarł znajomość przed rokiem 1530 i którego informował korespondencyjnie o przeprowadzanych przez siebie obserwacjach zjawisk niebieskich. Najprawdopodobniej obaj astronomowie spotkali się m.in. w

Krakowie w dniu 29 stycznia 1534 roku, podczas zaćmienia Księżyca.

Uczony z Szadka dostarczał Mikołajowi Kopernikowi danych, pochodzących z własnych badań astronomicznych, przyczynił się — wraz z niektórymi innymi astronomami — do narodzenia się wielkiego odkrywczego dzieła kopernikańskiego. Zresztą heliocentryczna teoria Kopernika była zapewne znana na dużo wcześniej, przed jej oficjalnym ogłoszeniem, w gronie krakowskich przyjaceli Kopernika i w kręgach profesorów Akademii Krakowskiej, a więc i Mikołajowi z Szadka. Mikołaj Prokopowicz, jeszcze na rok przed śmiercią, która zabrała go w podeszłym wieku przy końcu grudnia 1565 roku, uczestniczył przy weryfikacji obserwacyjnej dokonanych przez Kopernika obliczeń astronomicznych.

HENRYK SZUBERT

ODGŁOSY 11

Niedawno uczyniono mi zarzut, że niepotrzebnie przytoczyłem w felietonie „Kto jest grafomanem?” krytyczną opinię Peipera na temat Iwaszkiewicza. Dziwi mnie taka drażliwość, bowiem wymowa mojego felietonu była jasna — pisałem w nim o subiektywizmie sądów i ocen literackich, wcale zresztą opinii Peipera nie podzielałem.

Przykro mi jedynie, że mój felieton zbiegł się przypadkowo w czasie z zupełnie gangsterską napaścią na Iwaszkiewicza na

ze Broniewski nie ma w ogóle prawa do miana poety proletariackiego. Czuchnowski pisał do wszystkich właśnie z pozycji poezji proletariackiej, której reprezentantem czuł się — i był nim zresztą — całe życie. W odpowiedzi na ten artykuł Antoni Słonimski napisał o Czuchnowskim, że jest to „były grafoman”, zaliczając go do owego „zbuntowanego grafomanstwa” także Wańkowicza i Irzykowskiego.

I proszę popatrzeć co się wyraża! Oczywiście nie miał ra-

„Jeszcze Polska nie umiera. Kiedy my żyjemy. Co nam obca moc wydarła. Szablą odbierzemy”.

Przejsz do historii za sprawą jednego tylko wiersza, ale za to jakiego wiersza!

Niedawno telewizja przedstawiła jakąś sztukę Włodzimierza Perzyńskiego. Bardziej oczytani na hasło „Perzyński” powiedzą: „Szczęście Frania”, „Aszantka”, „Lekkomyślna siostra”... I tyle. Został Perzyński w literaturze dzięki tym trzem sztukom — nie bardzo zresztą pamiętanym, pisanym dla pieniędzy, aby wypłacić się z zaciągniętych zaliczek. Ponoć „Lekkomyślna siostra” powstała w dwa tygodnie.

A przecież Perzyński opublikował masę książek — poezji, nowel, powieści, z których na przykład „Sławny człowiek” miała parę wydań i przekłady na obce języki. Komedii, humoresek, reportaży, felietonów napisał Perzyński całe mnóstwo. A co zostało? Trzy młodzieńcze komedie, mieszczące się w niewielkim tomiku „Biblioteki Narodowej”.

Ala znów! Przejsz do historii literatury choćby jednym utworem, ale za to godnym „Biblioteki Narodowej”. Twórczość Włodzimierza Perzyńskiego bardzo cenili i bardzo chwalili chyba wszyscy współcześni mu krytycy. Nie bardzo to jednak wpłynęło na opinie późnych wnuków. Dziś pisarz ten należy do twórców raczej zapomnianych.

I tak to jest z opiniami i ocenami w literaturze. Wszystko tu jest względne, podlega ciągłej weryfikacji i pisarz nigdy nie wie co po sobie zostawi — jeden wiersz, jedną książkę czy może tylko zapomniane nazwisko w indeksie historii literatury.

WIDOK

ZA DOLARAMI

Dawno, dawno temu emigrowało się z kraju za chlebem, w poszukiwaniu pracy. Dziś wyjeżdża się za granicę za dolarami i inną wymienną walutą. Nazywa się to eksportem myśli technicznej. Nasze firmy budują za granicą różne fabryki. Potrzeba specjalistów do ich uruchomienia, do obsługi i konserwacji. Korzyści z tego powodu są wielorakie: ludzie świat poznają, języków obcych uczą się, dolary zarabiają i inne wymienne waluty, do kraju je przywożą, do banku składają lub kupują różne drogie rzeczy w „Pewexie” lub mieszkaniach w spółdzielniach. Pieniądże te trafiają do państwowej kasy, a wiadomo, że są potrzebne, bo państwo w ubiegłych latach długów narobiło i teraz trzeba je spłacać.

Ktoś zastanawiał się, czy w ogóle w tych trudnych czasach, kiedy przedsiębiorstwa będą przechodziły na samodzielność i będą liczyły każdy grosz, co spowoduje, że trzeba będzie wielu ludziom zmienić nie tylko pracę, ale i zawód, czy więc w tych czasach nie zezwolić na emigrację zarobkową? Tak, jak to zrobili swego czasu Jugosłowianie. Chętnych byłoby chyba wielu, bowiem wielu ludziom zdaje się, że za granicami Polski dolary i inna wymienną walutą leżą na ulicy, tylko ją podnieść. Nie jest to jednak nie nowego, gdyż i do tej pory wielu ludzi jeździło choćby okresowo „na saksy”, aby zarobić trochę szwedzkich koron, zielonych papierków, zachodniemieckich marek, czy francuskich franków. Teraz przy wprowadzonych ułatwieniach paszportowych też będą jeździć.

Jak ktoś nie ma co w kraju robić, a może wyjechać, aby przywieźć do kraju i tu wydać trochę walut wymiennych, to w końcu jego sprawa, a społeczna korzyść. Tylko, czy naprawdę nie ma tu nic do roboty? Co do tego mam pewne wątpliwości. Nie wyjaśnię ich sobie dopóty, dopóki nie będziemy dysponowali rzetelnym sporządzonej bilansu kadr. Kogo mamy za dużo, w jakich zawodach jest „nadprodukcja”, a jakich specjalistów nam brakuje. Jedno jest pewne. Nie mamy nadmiaru lekarzy. A właśnie kilka dni temu telewizyjne „Łup-cupu” (satyryczny dodatek Łódzkiej Wiadomości Dnia) wykpiło zamiar wystawienia z Łodzi, 150-osobowej ekipy pracowników służby zdrowia — lekarzy i pielęgniarek — do Libii, gdzie mają stanowić obsadę szpitala. Jak się dowiedziałem, takie ekipy wyjeżdża nie tylko z Łodzi. Pożytek z tego ma być taki, że 30 procent wpłat dolarowych na konto Skarbu Państwa ma być przeznaczonych dla łódzkiej służ-

by zdrowia na zakup sprzętu medycznego. Cel to słuszny, jako że nadmiar sprzętu też nie mamy. Cieszyć się więc z tego, czy martwić? — Z pielęgniarkami — powiedzieli mi znajomy lekarz — nie ma kłopotu, co roku wychodzą ze szkół nowe. Z lekarzami, specjalistami sprawa już gorsza. Ale nie będzie się ich zabierać z rejonów, a poza tym nie ma znów tylu chętnych jakby to się mogło wydawać.

Jestem więc w rozterce. Cel niby społeczny, bo to i ludziom w Libii pomożemy, bo to i dolary do kraju przywieźą, coś na wzbogacenie stanu posiadania łódzkiej służby zdrowia kapnie, ale z drugiej strony mam wątpliwości, czy w tej trudnej sytuacji, jaka jest w służbie zdrowia wolno nam „eksportem lekarzy” zarabiać na pokrycie długów? Cieszyć się nie ma powodu — to jest pewne. Ale, czy nie należałoby protestować przeciw takiej „polityce kadrowej” w służbie zdrowia? Już dziś skóra mi cierpieć na myśl, że moglibym zachorować, i że musiałbym wystawić w kolejce do lekarza, biegać po laboratoriach z analizami, przeprowadzać specjalistyczne badania.

O niezdrowej sytuacji, jaką mamy w służbie zdrowia mówi się na ogół prywatnie. Oskarżeń nikt nie wniesie, gdyż wiadomo, iż wszystko odbywa się na zasadzie „cichej umowy”, ale ludzie mówią: — jak nie dasz to i zdrowy nie będziesz. W ludziach głęboko tkwi bowiem „przekonanie”, że państwo lekarzom i innym pracownikom służby zdrowia mało płaci, co daleko od prawdy nie odbiega, więc trzeba dokonać kolejnego podziału „dochodu narodowego”, aby społecznej sprawiedliwości stało się zadość. Tak więc, choć formalnie prywatnej praktyki prawie u nas nie ma, to faktycznie — jak się o tym powszechnie mówi w prywatnych rozmowach — jest ona i na dodatek w państwowej służbie zdrowia uprawiana. Mamy więc kolejny paradoks: bezpłatną pomoc lekarską i powszechnie przekonanie, że nie nie jest ona warta, bo bez zapłaty lekarz leczy gorzej. Stąd większe zaufanie ludzi mają do spółdzielczości lekarskiej, gdzie wiadomo: płacisz i, wy-magasz. Albo tak się im tylko zdaje, ale nawet z takim złudzeniem ludzie mają większe zaufanie do lekarza spółdzielczego niż do państwowego, choć często jest to ten sam człowiek. Lekarze bowiem pracują na kilka etatów, zaganiani są, dyżurami w pogotowiu dorabiają, na nie mają czasu, a leczyć muszą. Ostatnio posłowie zgrupowani w sejmowej Komisji Zdrowia zastanawiali się, czy nie wrócić do prywatnej praktyki lekarskiej, jako uzupełnienia państwowej służby zdrowia. Do konkluzji żadnej nie doszli. Skończyło się na jeszcze jednej dyskusji.

MARCIN RODAK

CO POZOSTANIE?

łamach pewnego młodzieżowego pisma. Zresztą autor tamtego kuriozalnego tekstu specjalizuje się — jak zdażyłem zauważyć — w felietonach napaściowych i obraźliwych. Z tego co ów pan pisze wynika, że był przez czas jakiś pozbawiony możliwości druku, więc wraca na łamy z hasłem, aby zostać szybko zauważonym. Rozumiem te subiektywne racje i emocje, ale metoda nie jest piękna. Wracając jednak do moich rozważań na temat subiektywizmu ocen literackich, chcę jeszcze raz podkreślić, że to co jeden pisarz sądzi o drugim nie zawsze jest i nie zawsze musi być słuszne.

W roku 1933 Marian Czuchnowski — bardzo wybitny poeta i człowiek, który swoim trudnym życiem poświadczył wierność własnym przekonaniom — napisał w artykule pt. „Jaśniej!”, że poezja Broniewskiego jest szmيرًا poetycką i

cji Czuchnowski przekreślał twórczość Broniewskiego. Nie miał racji także Słonimski lekceważąc twórczość Czuchnowskiego, Wańkowicza i Irzykowskiego. Nie miał także racji pewien mało ocytany mąż stanu potępiając w czambuł, w latach sześćdziesiątych, twórczość Słonimskiego.

Rację miała tylko historia literatury wpisując wszystkich wymienionych tu pisarzy na swoje karty.

Na karty historii literatury dostają się zresztą pisarze z bardzo różnych powodów. Któż dziś pamięta cały dorobek literacki Józefa Wybiekiego, który napisał kilkanaście komedii i oper doszczętnie dziś zapomnianych? A przecież pisarz ten pozostał w literaturze i świadomości narodowej z powodu jednego tylko wiersza, zaczynającego się od słów:

TELEWIZJA

Oczywiście wazawa. I to na stałe. Bo przecież telewizja — z założenia — nie była pomyślana jako domokrążca z gumą do żucia, ani jako bar z filantropijną zupką. Mogłaby być — na stałe — bezczka z miodem o ustalonym smaku i konsystencji. Bez też „przypraw”, którą nazwał w tytule. Ale dość już tych spożywczych asocjacji — że wymyślonych w kolejce nie muszę dodawać. Przejdźmy do faktów.

Warszawski „Express Wieczorny” pośród wielu zalet ma i tę, że w swoim wydaniu sobotnio-niedzielnym podaje szczegółowy program TV na cały tydzień z krótkim komentarzem do, co ciekawszych, audycji i filmów. W rubryce „Sobota — 7 marca, program 1 godz. 20.10” można przeczytać: „Jeden z najciekawszych filmów ostatnich lat. Wstrząsająca opowieść z naszej najnowszej historii. Film rozpowszechniany jak na lekarstwo, teploty przez propagandę sukcesu. Każde słowo pisane o „Człowieku z marmuru” musiało być uzgadniane na górze i, broń Boże, nie mogło to być słowo pochwały. Dziś przyszły inne czasy. Chwała telewizji, że pokazuje nam ten obraz”. Jak przedwczesna była ta apologia, miało się okazać właśnie w owa sobotę. W nowo pomyślanej mini-informacji „Dziś, Jutro w programie” dyżurna spikerka odwołała „Człowieka z marmuru” proponując w zamian „Klasyczny western”

Cecil de Mille’a „Union Pacific”. Jeszcze nie uwierzyłem, bo przecież nie tak dawno w „RTV” redaktor Bogdan Miś wykpił dokumentnie nagłe zmiany w programie, którymi tak hojnie szafowano w TVP w poprzednich latach. Myślałem sobie — podobnie jak komentator „Expressu”: „Dziś przyszły inne

„Dom”, ni stąd ni zowąd, potwierdził krytyczne opinie na temat produkcji fabularnej Jana Łonnickiego, Janickiego i Mularczyka. Film Wajdy mógł stać się nazbyt wymagającym egzaminatorem dla historii o mieszkaniach domu przy Złotej.

A można było powiedzieć, informując

ŁYŻKA DZIEGCIU

czas”. Niestety ktoś je zatrzymał. O 20.10 Jan Szuin potwierdza zmianę (oczywiście przeprosił) już nawet nie wymieniał był tytułu filmu Wajdy: „Zamiat zapowiadano filmu — powiedział — zobaczmy za chwilę...”. Nie po raz pierwszy western myślił nam oczy. Ten sobotni, który miał być „klasycznym”, okazał się kiczowatą bzdurą z tylną projekcją o cywilizacyjnym postępie białego człowieka, który musi rozprawić się z głupim i dzikim Indianinem. Zresztą nie ma o czym mówić. Paradozem naszej telewizyjnej kultury jest to, że jeszcze raz „opowieść z najnowszej historii Polski” musiała ustąpić fałszywej mitologii Dzikiego Zachodu. Fakt, że nie wyświetlono „Człowieka z marmuru”, właśnie w sobotni wieczór, w godzinach przeznaczonych od kilku tygodni na serial

o zmianie, że np. kopię którą dysponuje TVP okazała się zła technicznie, albo, że „postanowiliśmy” pokazać „Człowieka z marmuru” w cyklu „Filmoteka Narodowa”, gdzie idą właśnie filmy Wajdy (ale a propos: kiedy zobaczymy jego „Amara klasę” według Kantor’a), albo, że reżyser zdecydował o wprowadzeniu uzupełnień do wersji kinowej, albo w ogóle nie zapowiadając czegoś, czego pokazać nie można. Co ja piszę! Nie można? Kto? Jak? Dlaczego?

Ostatnio chwaliłem politykę repertuarową telewizyjnego kina. Chciałem to powtórzyć i w tym felietonie. Bo oto proszę, tytuły z ostatniego tygodnia. „Wysokie loty” Ryszarda Filipskiego, film którego nie oglądałem w kinie, rzecz o której bąkało tu i ówdzie z przekąsem, cedzono cierpliwie recenzję, na małym ekranie odzyskał swoją rze-

czywistą rangę. Wydarzenia ostatnich miesięcy spełniły diagnozę Filipskiego z roku 1979, co do loty, łącznie z finalnym hasłem filmu: „nadejście dzień zapłaty, czy tylko ten dzień będzie dniem oczyszczenia?”. Dalej: film Ryszarda Czekajki „Zofia”. Ten tytuł z kolei, obdarowany hojnie i zastrzeżenie wieloma

nagrodami, ze względu na swoją formę nie mógł liczyć na liczną widownię w kinach. Dobrze więc się stało, że telewizja postanowiła dzieło Czekajki upowszechnić. Jednak stało się nie najlepiej: łącznie ta łyżka dziegciu, że pokazano ów film w nie najszczęśliwszym terminie (sobotnie popołudnie) i na dadek bez słowa komentarza. I tu tu nie rozumiem, czasem byle co wprowadza się na mały ekran ze zbytnim rumorem, a ważny, wybitny film zapowiada się z uśmiechem, jak by to były „Aniołki Charliego”.

Gdy ukażą się „Odgłosy” z tym felietonem, telewizydzowie zdążą zobaczyć jeszcze „Krajobraz po bitwie” Andrzeja Wajdy, „Grona gniewu” Johna Forda, także — jak przypuszczam — interesujący film radziecki według prozy braci Strugackich („Hotel pod martwym al-

pinista”), nie licząc tytułów z zakresu tzw. „B-pictures”. Trzeba było zatem przekreślić te wszystkie pozytywne telewizyjne king zatrzymaniem „Człowieka z marmuru”.

Pisatem (aż do znużenia) o niedostatkach tygodnika „RTV”. Kto ma metody w swojej „pani” z „Ruchu” wie, że zmienił się tytuł tego tygodnika, także jego zawartość. Nazywa się teraz „Antena”; zyskując parę stron, stracił jednocześnie okładkę. Aha, ma jeszcze podtytuł, sugerujący, że jest to czasopismo widzów i słuchaczy. Gotów byłbym to wszystko zaakceptować, gdyby oprócz „Anteny” — bo rzeczywiście zawiera ona wiele informacji o ludziach i problemach TRP — istniało jeszcze czasopismo podające pełny i wyczerpujący serwis wiadomości o programie telewizyjnym. Oprócz wieści z wokandy, gdzie toczy się sprawa byłego Prezesa, oprócz wywiadu z redaktorem Samoilowskim, który objaśnia intencje swojej słynnej już audycji, oprócz tego co mieszkanka Kłajna myślała o serialu „Misja”, którego coś nie ma (wbrew zapowiedziom chciałbym dowiedzieć się o regularnie, wiarygodnie i w sposób pełny, co będzie w programie. Czy to naprawdę takie trudne do zrealizowania?!

GRZEGORZ GAZDA

SYTUACJE

Myśliwi. Różnie się o nich mówi i pisze. Czy należą do elity? Dane statystyczne są tego zaprzeczeniem.

Kolumn cyfr i liczb nie należy jednak brać na serio. Po prostu kryje się za nimi wiele niewiadomych. Przede wszystkim trudno do rozszyfrowania jest przekrój społeczny myśliwych. Oto na przykład dużą grupę stanowią „pracownicy umysłowi”, ale do grupy tej równie dobrze można wpisać referenta, wojewodę, sekretarza instancji partyjnej itd. tak, jak ministra rolnictwa można wpisać do rubryki „rolnik”.

Cechuje ich wspólna pasja — polowanie. Tu jednak drogi zaczynają się rozchodzić. Nie dostrzegają się tego podczas zbiorowego ostrzału zajęcy w obwodach Polskiego Związku Łowieckiego, gdzie najważniejszą osobą jest prowadzący polowanie, którego decyzje nie podlegają dyskusji. Można by do tego dodać, że zgodnie z przepisami resortu rolnictwa, zwierzyna łowna przebywająca na wolności stanowi własność państwa. Tak uczy się członków Polskiego Związku Łowieckiego. Po polowaniu myśliwy może zatrzymać dla siebie określoną ilość jeleni, dzików, sarn, zajęcy, bażantów, kuropatw pod warunkiem, że wpłaci odpowiednią kwotę pieniędzy do kasy swego zrzeszenia.

Czy oznacza to, że żona myśliwego nie musi wystawać w kolejce po mięso? Nie wdaję się w szczegóły godzi się odnotować, że począwszy od 1977 r., na skutek niesprzyjających warunków atmosferycznych (dwie zimy „stulecia”) nastąpił ogromny spadek pogłowia zwierzyny drobnej, która dominowała w Polsce centralnej i wielu myśliwych było zmuszonych zadowolić się zdobyciem 1—2 zajęcy rocznie.

Na grubą zwierzynę mogą polować jedynie selekcyjnie, dla których ustala się do ostrzału określoną liczbę jeleni, dzików i sarn. Nie

wszyscy jednak mogą sobie pozwolić na wielogodzinne przebywanie w lesie to raz, a po wtóre: myśliwy płaci za 1 kg dzika wazonowego wraz ze skórą 80 zł, co nie stanowi zbyt wielkiej zachęty, aby zatrzymać zwierzę dla siebie.

Mamy jednak w kraju również tereny łowieckie, o których nie mówi się głośno. Są one ukryte pod kryptonimem: obwody wydzielone, a więc nie podlegające Polskiemu Związkowi Łowieckiemu. W łowiach tych gospodarkę łowiecką prowadzi administracja lasów państwowych. Nie polują tu „nisko urodzeni” leśnicy. Nie poluje też referent, robotnik i autentyczny rolnik. A i zwie-

obowodu zamkniętego administracja lasów państwowych zmuszona była wypłacić rolnikom 24 razy wyższą sumę pieniędzy niż członkowie PZŁ z tym, że ci ostatni zostali obciążeni 25 proc. sumą strat, a 75 proc. pochodziło z budżetu państwa, natomiast pieniądze wypłacone rolnikom przez administrację lasów pochodziły w całości z kasy państwowej.

A oto zestawienie innych liczb. W podanym okresie kasa PZŁ w województwie piotrkowskim przeznaczyła z własnych funduszy na zagospodarowanie łowisk 5.700 tysięcy złotych, podczas gdy administracja lasów państwowych 4.250 tysięcy

ŁOWIECKIE REKINY I PŁOCIE

rzyna nie stanowi własności państwa. A zwierzyna jest na tych terenach bardzo dużo. Przekonują o tym miliony złotych odszkodowań wypłacanych rolnikom za straty w uprawach, głównie przez dziki i jelenie i to w jednym tylko województwie piotrkowskim.

Z danych, jakie udało mi się uzyskać wynika, że w tymże województwie znajduje się 8 obwodów wydzielonych o ogólnej powierzchni 71 tysięcy hektarów. Są to przede wszystkim lasy spalskie. Otóż w łowieckim roku gospodarczym 1979—80, który trwa od 31 marca do 1 kwietnia następnego roku, administracja lasów państwowych wypłaciła rolnikom za zniszczone ziemniaki, kukurydzę i inne rośliny 8.520 tysięcy złotych.

W tym samym czasie członkowie Polskiego Związku Łowieckiego dzierżawiący 96 obwodów o powierzchni 488 tysięcy hektarów zostali obciążeni z tego samego tytułu kwotą 3.232 tysiące złotych. Oznacza to, że w przeliczeniu na 1 ha

złotych. W rezultacie, biorąc pod uwagę odszkodowanie, zagospodarowanie i wynagrodzenie pracowników, wydatki na utrzymanie obwodów wydzielonych wyniosły 12.770 tysięcy złotych, natomiast wpływy za upolowaną zwierzynę i sprzedaną w przedsiębiorstwie „Las” zaledwie 678 tysięcy złotych. W sumie do każdego hektara gospodarki łowieckiej prowadzonej przez administrację lasów państwowych państwo dopłaciło blisko 180 zł, wobec niecałych 5 złotych wyasygnowanych dla kół PZŁ.

Chyba niewiele osób wie, ile obwodów wydzielonych jest w całym kraju, tak jak nie bardzo wiadomo jaki procent zwierzyny z tych obwodów znajduje drogę do punktów skupu i ile pieniędzy za zastrzelone jelenie, dziki i inną grubą zwierzynę trafia do kasy administracji lasów państwowych (Polski Związek Łowiecki przysporzył krajowi w omawianym okresie 22 miliony dolarów). Wiadomo natomiast, że w spalskich lasach

— jak twierdzi jeden z wtajemniczonych myśliwych — poluje elita i że niektórzy jej przedstawiciele czerpią z tego tytułu wcale niemałe korzyści osobiste, jako że zastrzeloną zwierzynę traktują, jak własną i nie dzielą się z państwem uzyskanymi tą drogą pieniędzmi.

Ostatnio głośno jest w Piotrkowie o dygnitarzu, któremu zakłady z Niewiadowa zbudowały w łowisku wydzielonym w lasach spalskich, nazwanym jego imieniem, urządzenia łowieckie wartości 1 miliona złotych. Sprawa być może byłaby jeszcze utrzymywana w tajemnicy, gdyby nie „przemebrowanie w rządzie” dokonane przez nowego premiera i odsunięcie wpływowego „działacza państwowego”. Sprawilo to, że przedsiębiorstwa z Niewiadowa nie ma kto zapłacić za wykonaną robotę.

Na temat urządzeń, jakie sprawili sobie niektórzy dygnitarze w spalskich lasach, gdyby chcieli, dużo mogłoby powiedzieć miejscowy nadleśniczy. Odradza mi jednak przeprowadzenie z nim rozmowy, gdyż podobno nie jest skory do zwierzeń na temat tego, to wie o prawach jakimś rządzi się elita myśliwych. Odradza mi też obejrzenie ich ambon wyposażonych podobno w tapczany, telewizory, telefony i inne urządzenia, do których przywykli owi panowie, jako że osoby „nie powołane” nie mają prawa wstępu do owych dacz, zwanych ambonami.

A swoją drogą cennie się pytanie, w czym interesie leży utrzymywanie wydzielonych łowisk? Nie jestem za ich całkowitą likwidacją. Jest ich jednak stanowczo za dużo i zbyt droga nas kosztują. Taka gospodarka nie sprzyja poczuć sprawiedliwości społecznej, przekonaniu, że odnowa, o której tyle się mówi i pisze objęta nie tylko mauluczkami...

ZYGMENT FOLTYŃSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”: al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych reprintsów nie zwraca, zastrzega również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Ruchowizna Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 491. K-5.